TYGODNIK KOBIETY

CENA 50 GR.

Nr. 18
3 maja
1936 r.









1. PLISOWANA BLUZECZKA Z JASNEJ ŻORŻETY. PHOTO PARAMOUNT.

2. SUKNIA PŁÓCIENNA, SZALIK I PASEK Z PŁÓTNA W ŻYWYCH BARWACH. PHOTO PARAMOUNT.

3. SUKNIA Z PŁÓTNA W KOLORZE NATURALNYM PRZYBRANA KOLOROWĄ STEBNÓWKĄ. GUZIKI I KLAMRA W TYM SAMYM KOLORZE.

TYGODNIK KOBIETY

ROK II. Nr. 18. 3 MAJA 1936 R.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, SZPITALNA 5 m. 15 — TELEFON 5-07-03

PANI DOKTÓR IDZIE

Idziemy dalej pogrążone w zadumie.

— Teraz będzie pewnie coś wesołego! — oświadcza nagle lekarka przed jakąś bramą.

— Pani doktór idzie! — rozlega się ze wszystkich stron.

Przy trzepaku stoi zażywna kobieta, trzepiąc zawzięcie jakiś chodnik. Wyciera ręce w fartuch i zbliża się do nas.

— Dzieńdobry, pani doktór, dzieńdobry. Pani doktór pozwoli.

Wchodzimy na trzecie piętro i stajemy przed drzwiami, za któremi rozlega się wesołe gwizdanie, zgrzyt piły i szelest heblowanego drzewa: mieszkanie stolarza. Pachnie trocinami i świeżem drzewem. Wszędzie pełno mąki drzewnej, loków trocinowych, opiłek. Majster w zakasanych rękawach od koszuli podaje rękę doktorce i kłania mi się grzecznie.

— Panie doktory pozwolą.

— Janek! Jaanek! Uciekł, psiakrew. Jaaaanek! Gdzież on się podział? — wychyla się przez okno. — A przyjdziesz ty tutaj, czy mam zejść po ciebie! No, idzie! — oświadcza po chwili.

— Niebardzo on widać chory, — stwierdza lekarka z lekkiem zniecierpliwieniem, — kiedy tak może biegać. Nie mogła to pani przyjść z małym do mnie? Przecież wzywać lekarza należy tylko do dziecka gorączkującego. Naprawdę, pani Lasocka, to wstyd, trzeci raz już mi to pani robi. Więc co ci jest? — pyta malca, który wszedł i stanął przy drzwiach zastraszony.

— Chodź, chodź, — namawia go teraz ojciec od warsztatu,—a widzisz, mówiłem ci: nie będziesz słuchał, przyjdzie pani doktór, postawi ci bańki i da oleju. No, i przyszła.

— Więc co jemu jest? Skarży się na co? — pyta moja towarzyszka niecierpliwie.

— Nic mu nie jest, przecież pani doktór słyszy: mówiliśmy mu, żeby nie wybijał szyb tu na dole u sąsiadów, a on nic, tylko co i rusz — kamieniem, co i rusz — kamieniem, więc ja...

— Wcale mały nie jest chory?

— Bogu dziękować nie, tylko powiedzielim jemu, że jak nie będzie słuchał...

— Państwo dostaną tym razem karny mandat, — ostro powiada moja towarzyszka, — to jest niesłychane! Żeby w taki sposób wyzyskiwać lekarza!...

— Tu niema żadnego wyzyskiwania, podnosi teraz głos majster,—tylko ja płacę kasę, znakiem tego... — Ale nas już niema. Zgóry dobiega tylko dwugłos stolarza i jego żony, pomstujących na nas obydwie, na Kasę Chorych, na nieszczęsnego Janka, na cały świat.

— To jeszcze nic, — opowiada mi „pani doktór", wchodząc do sieni następnego domu. — Pewnego razu wezwano mnie do zapisania... butelki spirytusu. I to całkiem bezczelnie. Że niby „do płókania". A ile się nieraz nasłucham! Ile nałykam przykrości!

— No, jak tam, Zygmusiu? Lepiej z nogą? Dzieńdobry panu, panie Kolisko. Jezus Marja! — przeraża się, odwinąwszy bandaże z kolana chłopczyka. — Co pan zrobił?

Malec, patrząc na ogromne pęcherze z wodą, zalewa się łzami. Noga jest rzeczywiście w stanie opłakanym.

— Ano, — tłumaczy się ojciec, — zrobiłem okład, jak pani doktór kazała. Pod ceratką. Ze spirytusu.

— Z czystego?!

— Z czystego.

— Przecież wyraźnie powiedziałam i na butelce jest napisane: łyżka na szklankę wody! Co pan narobił!

— Jakoś... zapomniałem...

— Tato mnie biiiił! — żali się dzieciak. — A mnie bolaaaało...

Doktorka szybko coś pisze na karteczce. — Ubierze go pan i proszę zaraz pójść pod ten adres do chirurga. Jutro tu będę i zobaczę.

— No, widzi pani, — irytuje się jeszcze przed drzwiami następnego chorego, — trzeba sto razy mówić, powtarzać, a potem jeszcze sprawdzać. Muszę być lekarzem, nauczycielem, dozorcą, wszystkiem.

Wchodzimy do schludnej choć bardzo ubogiej izdebki na poddaszu. Widać, że mieszkańcy jej starają się o pewną estetykę: w okienku wiszą białe firaneczki, na stole leży czysty obrus, na komódce porozstawiane jakieś drobiażdżki. Od maszyny wstaje niemłoda kobieta i wita nas grzecznie, ale bez uniżenia.

— Córka wyszła, ale w tej chwili wróci, — tłumaczy nam uprzejmie. — Niech panie spoczną: do nas tak wysoko. — Z wymowy, z głosu wnioskuję, że jest to kobieta z innej sfery, niż jej sąsiedzi. Lekarka zadaje py-

tania o zdrowie chorej, ja zaś rozglądam się po pokoju i odkrywam na półce ponad komodą mnóstwo książek z zakresu wychowania i szkolnictwa powszechnego.

— Pani jest nauczycielką w szkole powszechnej, — wyjaśnia mi lekarka, spostrzegłszy moje zdziwienie.

— Tak jest — spokojnie i z uśmiechem dodaje właścicielka pokoiku — i muszę się ciągle uczyć, bo wciąż każą nam zdawać jakieś dodatkowe ezgaminy, albo słuchać nadzwyczajnych kursów. A mało mam na to czasu, bo mała nie może się sama ubrać, ani umyć, ani sobie ugotować. Przez tę rękę, — tłumaczy mi, widząc, że nie wiem, o co chodzi. — Moja córeczka ma gruźlicę kości. ale pani doktór wysłała ją na rok do sanatorjum i teraz jest jakby trochę lepiej. Czy pani ma nadzieję, że Janeczka pojedzie znowu? — pyta z blaskiem niepokoju w oczach.

— Myślę, że mi się to uda, droga pani Marjo, — uspakaja ją moja towarzyszka.

Zbadała dziewczynkę, która weszła i przygarnęła się do niej przyjaźnie i z ufnością.

— Ależ Janeczko, — strofowała ją matka,— duża panna, trzynastoletnia, i obejmuje panią za szyję, jak dzidziuś! — ale widać było, że sama chętnieby to zrobiła.

Lekarka była najwidoczniej wzruszona do głębi, gdy się żegnała z nauczycielką i jej córką. — Wszystko będzie dobrze, — pocieszała obydwie, — niech tylko Janka mnie słucha!

— Nic, nic nie będzie dobrze! — powiedziała odrazu innym tonem, zeszedłszy ze schodów.—Biedactwo powinno stale być na mocnem słońcu! Za mało mamy sanatorjów, a za dużo biedy! — dokończyła sentencjonalnie, nachmurzona.

— No, jeszcze tutaj! Józek, Wandzia! — zawołała na parkę, grzebiącą z przejęciem w śmietniku. — To wyście tacy chorzy?

— Pani doktór pozwoli! — wychyliła się z parterowego okna głowa kobiety. — Józek, Wandzia, do domu!

Weszliśmy do pokoiku, w którym wśród oparów z balji stało kilka kobiet przy praniu.

— Bardzo przepraszam panią doktór, ale ja przy pracy, a już naprawdę nie wiem, co zrobić z temi dzieciami, — zaczęła kobieta, zasadzając nas przy stole. — Ani to się uczyć, ani nic... A pani doktór zna to-to od urodzenia, więc powiedzielim z mężem, że tylko pani doktór do nich przemówi. Mój tak się martwi, że już nie wiem; bo jakże, pani doktór: bliźniaki, po dziesięć lat im przecie, ludzie się śmieją: pani Nabielak, mówią, żadnego pożytku z dzieciów pani nima, a one nic i nic!... Tylko do ty zabawy i zabawy...

Buchające z kotła i balji kłęby pary wygnały mnie na podwórze. Nie wiem, co tam „pani doktór" radziła na zażegnanie jakiejś wielkiej domowej tragedji, ale widziałam po długim czasie, jak skruszeni grzesznicy, spłakani i z umorusanemi mordkami, szli uwieszeni u jej ramion aż za bramę.

— I żebyście obydwoje przyszli do mnie w niedzielę rano ze stopniami z tego tygodnia, to pójdziemy... już wiecie dokąd, co? No, dowidzenia.

— Obiecałam im kino. Co miałam zrobić? Dzieciaki wyrywają się na świat, dość mają zapachu mydlin i smaku rózeg. Cóż, nie umieją ludzie postępować z dziećmi! — westchnęła.

„Zato ty umiesz!" — pomyślałam. „Ty potrafisz, dobry duchu, rozjaśnić twarze i rodziców i dzieci, przynieść trochę słońca w mroczną izbę, zasiać otuchę w zgorzkniałe serce, ukoić strach i ból, zapewnić pogodę choćby na chwilę. Jesteś otuchą dla starszych, lekarzem dla dzieci, pokrzepieniem, karmicielem, wychowawcą, sędzią — wszystkiem, ty, skromna, wiecznie zagnana, śpiesząca się, witana uśmiechem, jedna z wielu, „pani doktór od dzieci" z Ubezpieczalni Społecznej.

Zofja Petersowa.

Rola kobiet w ruchu zawodowym

Dzisiejszy stan walki pomiędzy kobietą-pracowniczką, a mężczyzną-pracownikiem wypływa z przejściowych form naszego ustroju. Nie znjadując żadnej formy, którąby wskazywała kształty przyszłego porządku, ludzkość ucieka się do półśrodków, które nie sprzyjają równowadze ekonomicznej.

Ograniczenie pracy kobiet do pracy w domu jest dziś nie do pomyślenia, gdyż oprócz głosów żądających usunięcia kobiety, złośliwego współzawodnika mężczyzny - pracownika, obniżającego poziom zarobków męskich, głoszonych niby w imię jej dobra i realizowanych w drodze szeroko zakrojonego ustawodawstwa ochronnego (słabo zresztą w praktyce przestrzeganego), tajnych zarządzeń i jawnych dekretów i ustaw, istnieją tendencje, zmierzające do obalenia i usunięcia wszelkich przeszkód i ograniczeń pracy kobiet. Celem tych tendencyj jest wywalczenie dla kobiety pracującej swobody ekonomicznej w rozumieniu równego z mężczyzną i nieskrępowanego dostępu do pracy i równej płacy za równą pracę.

Stała konkurencja między sobą płac męskich i kobiecych obniża tylko ogólną skalę płac roboczych i budzi niepotrzebne antagonizmy wśród pracowników obojga płci.

W interesie przemysłu wielkokapitalistycznego nie leży zrównanie płac mężczyzn z płacami kobiet, to też dzięki wielkiemu wpływowi kapitału na warunki gospodarcze kraju, stanowiące podstawę życia państwowego i podstawę zależności gospodarczej rządu, we wszystkich krajach, gdzie celowość tego zagadnienia była rozpatrywana, potrafił on z łatwością zgilotynować wszelkie w tym celu poczynania.

W dobrze zaś zrozumianym interesie związków zawodowych leży usunięcie tej niezdrowej konkurencji płac. Już John Ruskin głosił, że należy dążyć, aby wszelka praca zarówno dobra jak i zła była wynagradzana jednakowo, co z biegiem czasu wytworzy taką sytuację, że źli pracownicy nie będą mogli otrzymać pracy, gdyż pracodawcy będą woleli za te same pieniądze zaangażować pracownika lepszego, a nie gorszego. Ruskin twierdził, że istnienie pracowników złych podtrzymuje się właśnie taniością ich pracy, oraz możnością ich wyzyskiwania.

W okresie Wielkiej Wojny nastąpiło zbliżenie płac kobiecych do męskich, po zakończeniu jednak wojny powrócił stan wybitnej nierównowagi w poziomie płac mężczyzn i kobiet.

Oprócz jednak problemu ogólnopracowniczego, związanego z tezą „równa płaca za równą pracę", istnieje jeszcze zagadnienie tego rodzaju, iż w psychice całego społeczeństwa tkwi błędne przekonanie, że kobieta, utrzymująca się z pracy rąk własnych, powinna wydawać mniej, niż mężczyzna. Ten punkt widzenia znajduje realizację w spychaniu kobiet, niezależnie od uzdolnień, do prac wykonawczych, kalkulowanych w kosztach administracyjnych bardzo nisko, pomimo, że prace te są nieraz cięższe, jako zbliżające się do pracy fizycznej i, jako dające się ująć w obliczenia ilościowe, nastręczające wielkie pole do wyzysku.

Opublikowana statystyka ubezpie-

czeń społecznych w Polsce na grudzień 1931 roku podaje bardzo małe ilości kobiet, pracujących umysłowo w wyższych grupach zarobkowych.

I tak: na 246.108 ubezpieczonych w Z. U. P. U. 171.683 osób stanowili mężczyźni i 74.425 — kobiety, w tem:

			kobiet	mężczyzn
w gr. A	60	było	8.464	7.885
w gr. B	90	„	6.186	6.508
w gr. C	120	„	7.490	8.222
w gr. D	150	„	10.214	12 675
w gr. E	180	„	11.773	18 015
w gr. F	220	„	8.246	15.191
w gr. G	260	„	4.620	10 882
w gr. H	300	„	7.070	19.696
w gr. I	360	„	3.764	13.200
w gr. J	420	„	2.151	9.440
w gr. K	480	„	1.877	11.198
w gr. L	560	„	960	8.426
w gr. M	640	„	568	6.396
w gr. N	720	„	1.042	23.949

Najliczniejsze grupy zarobkowe u kobiet są 150 i 180 zł., u mężczyzn — 180, 300 i 720 zł.

Jeżeli uwzględnimy nawet, że liczba ubezpieczonych kobiet, zatrudnionych przy pracy umysłowej jest przeszło dwukrotnie niższa od zatrudnionych przy pracy umysłowej mężczyzn to i tak otrzymamy niewspółmiernie niższe liczby kobiet do liczb mężczyzn, ubezpieczonych w grupach wyższych.

Wśród robotników płci żeńskiej sytuacja pod względem płac nie jest lepsza, bo tu płace kobiece wynoszą przeciętnie 65% płac niewykwalifikowanych robotników - mężczyzn.

Równe z mężczyznami żądania pod względem płacy były już dawniej warunkiem sine qua non należenia kobiet do niektórych zawodowych związków mieszanych (np. w przemyśle włókienniczym).

Ruch, zwalczający ochronę pracy kobiet, ogniskuje się w międzynarodówce Otwatrych Drzwi (The Open Door International). Ruch ten uważa macierzyństwo za chorobę podlegającą specjalnemu traktowaniu jedynie przez wzgląd na dobro wewnętrznego rozrostu państwa.

Prawodawstwo ochronne w ogólnem znaczeniu, znoszące niezdrową konkurencję zakładów pracy przez obniżanie wymagań pod względem czasu pracy, zapłaty oraz warunków higjenicznych pracy nie jest negowane. Podnosi ono bowiem człowieka na piedestał człowieczeństwa z roli wołu roboczego, który, będąc przez cały czas w jarzmie, marzy tylko o spaniu i jedzeniu, bo się odzwyczaił żyć po ludzku. Słowem zamiast specjalnych przywilejów ochrony pracy kobiet międzynarodówka Otwartych Drzwi dąży do jaknajlepszych warunków pracy i płacy dla robotników i pracowników bez różnicy płci, jako że nietylko stan zdrowia kobiety, ale i mężczyzny odbija się na potomstwie.

Największy zastęp liczą bojowniczki sprawy kobiecej o kierunku socjalno-demokratycznym, które są wprawdzie za ochroną pracy kobiet jako za ulepszeniem na polu pracy, którego narazie nie daje się jeszcze osiągnąć i dla mężczyzn, np. w odniesieniu do pracy nocnej, lecz które nie życzą sobie, aby w tym wypadku praca kobiet w ogólności i kobiet zamężnych w szczególności zmniejszyła się. Samodzielna praca kobiet jest dla nich, z punktu widzenia materjalistycznego pojmowania dziejów warunkiem niezbędnym do całkowitego wyzwolenia kobiety. Według nich powrót kobiety do ogniska domowego jest pod względem ekonomicznym krokiem wstecznym. Uważają one gospodartswo jednostkowe za nieracjonalne i propagują gospodarstwo spółdzielcze jako bardziej korzystne pod względem technicznym.

Stosunki, jakie się wytworzyły przez wprowadzenie kobiety na rynek pracy, przez zakaz ustawodawczy pracy kobiet zamężnych usunąć się nie dadzą.

Na kongresie w Zürichu w 1897 r., pisze Dr. Zofja Daszyńska - Golińska w swej książce „Praca" — powstało zasadnicze pytanie, czy należy dążyć do całkowitego wyeliminowania z fabryk pracy kobiet, a przynajmniej mężatek. Stanowiska tego utrzymać się nie dało, bo po pierwsze nie można sobie wyobrazić kapitalistycznego przemysłu bez pracy robotnic a powtóre byłoby to największą niesprawiedliwością zakazywać kobiecie pracy, która daje jej utrzymanie i niezależność, oraz krępować jej swobodę indywidualną w imię rzekomej troski o podtrzymanie rasy.

Wywiady urządzone w tym względzie w 1899 roku przez cesarskie biuro dla spraw wewnętrznych w Niemczech które w tym czasie liczyły 884 239 robotnic fabrycznych z których zamężnych było 229.334, jak podaje Dr. H. Herkner w książce „Kwestja społeczna w zachodniej Europie", w sprawie przyczyny pracy fabrycznej kobiet zamężnych — wykazały, że w znacznej ilości wypadków kobiety poświęcały się pracy fabrycznej z nędzy. Kobieta szła do pracy bądź dlatego, że mąż był chory lub niezdolny do pracy, względnie leniwy, pijak nałogowy, nicpoń, że wykonywał służbę wojskową siedział w więzieniu, albo też dlatego, że ją porzucił. Kobieta wyrzucona z fabryki szła najczęściej do pracy chałupniczej, t. zn. do warunków niechronionych ustawowo daleko gorszych tem samem, niż stosunki fabryczne względnie uporządkowane, co jednocześnie nie wpływało na zmianę warunków pracy dla mężczyzn.

W klasach wykształconych lub średnio-zamożnych, szczególnie gdy nie ma dzieci lub dzieci są już odchowane, powierzenie gospodarstwa osobie fachowej i odejście kobiety do warsztatu pracy dla przysporzenia środków utrzymania rodzinie nie może napotykać na żadne objekcje. Praca zawodowa dla tych kobiet jest zajęciem społecznie wyższem a pod względem duchowym bardziej pobudzającem energję życiową. Wyrzeczenie się w tym wypadku zawodu odpowiadającego otrzymanemu wykształceniu, jest poniżeniem społecznem, gdyż każdy człowiek jest w rzeczywistości istotą posiadającą naturalny pęd do czynu, który daje w konsekwencji zysk.

Te specjalne zagadnienia zwiększają rolę naszych przedstawicielek, zasiadających we władzach zarządów związków i w ciałach ustawodawczych państwa.

Specjalne zagadnienia obrony pracy kobiet wywołują jednakże rozbieżność zdań wśród samych działaczek co do kwestji jaką drogą należy je realizować, czy w związkach zawodowych mieszanych, czy też w samodzielnych związkach kobiecych.

Niektóre z kobiet niechętnie wstępują do związków mieszanych wobec tego, że mężczyźni nie liczą się z ambicjami kobiet, jakgdyby łaskawie tolerują zaledwie ich obecność w związkach nie powołując kobiet, lub z rzadkiemi wyjątkami do zarządów związków, względnie central pracowniczych, nie rozumiejąc tego, że zasada demokratyzacji ruchu zawodowego i oparcie się na masach pracowniczych wymaga tego aby kobieta brała czynny udział w kierownictwie i w zarządzie w imię jednakowych praw i obowiązków. Niesłusznem jest roszczenie mężczyzn do uzurpowania sobie prawa do rozstrzygania o pracy kobiet tak przez związki męskie, jak i przez ciała prawodawcze, w których zasiadają posłowie wybierani prawieże jedynie z pośród mężczyzn rządy bowiem mężczyzn nic w tym względzie nie mają do powiedzenia.

Działaczki te domagają się odrębnych organizacyj zawodowych.

(D. n.) *Marja Sierakowska.*

SPROSTOWANIE.

W artykule „Rola kobiet w ruchu zawodowym" w Nr. 16 „Tygodnika Kobiety" wkradły się następujące omyłki:

Tabela 1.

Mężczyźni — 14.492.754 — podano mylnie: 15.492.754.

Tabela 5.

Ogół ubezpieczonych — 2.153.223 — podano mylnie: 1.153.223.

PRZED WYBOREM ZAWODU

Zbliża się okres, kiedy przed młodzieżą szkolną, kończącą szkoły powszechne i gimnazja z całą siłą i realizmem staje pytanie: co robić dalej?

Decyzja, uzależniona od tego pytania jest bardzo ważna. Od niej zależy bowiem dalsze ukształtowanie się całego życia jednostki. I nietylko jego praca zarobkowa i stabilizacja życiowa ale osobiste samopoczucie.

Bo wybór zawodu jest sprawą o wiele trudniejszą aniżeliby się to wydawało na odległość. Chodzi bowiem o cały kompleks warunków, sprzyjających właściwemu wykonywaniu pracy. Chodzi nietylko o zamiłowanie i zdolności do danego zawodu ale i o siły fizyczne i różnorodne wartości psychiczne. Każdy rodzaj pracy wymaga cierpliwości, wytrwałości, uwagi, dokładności, systematyczności i t.p. Nie każda jednostka, obdarzona największemi zdolnościami do danego zawodu, może posiadać odpowiednią ilość kwalifikacyj psychicznych, które częstokroć odgrywają rolę decydującą.

Właściwe i możliwe zbadanie kandydatki do przyszłej pracy mają właśnie na celu poradnie zawodowe. Cała Warszawa podzielona jest dlatego na rejony według szkół powszechnych.

Oczywiście są specjalne poradnie dla dziewcząt. Uczenice przygotowane są zawczasu w szkołach do zrozumienia znaczenia i wartości poradni zawodowej. W tym celu demonstrowany jest film obrazujący 19 zawodów kobiecych. Film zawodoznawczy uzupełniają odpowiednie pogadanki. Oczywiście wszystko to pobudza do myślenia, do zastanowienia, do narady z rodzicami.

Bo naturalnie rodzice najwięcej troszczą się o los dziecka, wszyscy chcieliby ażeby życie samodzielne dziecka ułożyło się o wiele lepiej aniżeli ich własne. Zresztą często decyduje tu chęć ulżenia sobie samym. Zarobkujące dziecko przestaje być przecież ciężarem.

To też już w szkołach uczy się dziewczęta praktycznego podejścia do życia. Udziela się im pomocy w decyzji. Często uczenice zgłaszają się najpierw do swojej wychowawczyni, a potem dopiero do poradni. Ale zauważyć można tylko jedno. Że szkoły uczą poszanowania pracy.

Są dziedziny cieszące się pogardą, jak praca służby domowej, lub wychowawczyni.

— Ja nie z takiej rodziny, żebym miała służyć. Paniby mi się wtrącała do roboty albo robiła uwagi.

I dopiero trzeba tłomaczyć i persfadować, że „wtrąca" się każdy zwierzchnik, na każdym odcinku pracy. Tego powinno się uczyć w szkole i zadaniem kierownictwa jest wyrabianie w dziecku przekonania, że każda praca spełniana umiejętnie i porządnie ma jednakową wartość.

Duże znaczenie przy wyborze zawodów mają konferencje z rodzicami. Agituje szkoła, uświadamiając rodziców o znaczeniu poradni zawodowych. Odbywają się pogadanki, na które przychodzi po 200 osób. To ułatwia pracę poradniom, które dostają element już uświadomiony. Często kandydatki zgłaszają się same.

Rok rocznie przez poradnie zawodowe przepływa po kilka tysięcy dziewcząt.

Jedną z poradni prowadzi Stowarzyszenie Służba Obywatelska. Warszawska. Centrala pracuje od 1928 r. udzielając dyrektyw filjom w Poznaniu, Wilnie, Grudziądzu. Katowicach i Lwowie. Koordynacja prac uzgadniana jest na konferencjach i zjazdach, gdzie omawiane są metody i prace psychotechniczne.

Poradnia pracuje w warunkach bardzo ekonomicznych z niewielką ilością personelu. Pracy ma nad miarę, gdyż w rejonie jest około 2.000 dziewcząt. Na prace teoretyczne brak czasu. A metody pracy się zmieniają.

Niezmiernie precyzyjne aparaty, bardzo kosztowne, które używane były do badań, zastąpiono dziś środkami zupełnie prostemi. Badanie idzie po linji poznania całego człowieka, jego psychiki nadewszystko.

Musi lubić pracować, to najważniejszy postulat. Oprócz uzdolnienia musi się nastawić przychylnie do swego zawodu i do całej pracy. Znaczenie ma i wartość charakteru jednostki, i inteligencja i zainteresowanie.

A prace w poradni zazębiają bezpośrednio o zagadnienia społeczne. O badania selekcyjne do Państwowych szkół zawodowych, do seminarjów nauczycielskich gosp. domowego i t. p..

Wyłania się sprawa umieszczania w terminach na praktyce. Bo dziewczęta coraz starsze mają coraz mniej opieki ze strony rodziców. Często rodzice nie są w stanie opłacać dalszej zawodowej nauki. A niema organizacji społecznej, któraby się podjęła opieki nad taką młodzieżą, ułatwiała jej naukę i pośrednictwo w pracy. I zaznaczyć trzeba, że stowarzyszenia żydowskie umiały zorganizować taką pomoc.

Brak pomocy sprawia, że często zdolna jednostka wykoleja się właśnie przez brak możności dalszego kształcenia się. I nic tu nie poradzi przygotowywanie szkolne do ważności wyboru zawodu i sama decyzja poradni, jeżeli na dalsze kształcenie się niema środków. Ta sprawa jest jedną z najbardziej bolesnych.

Badanie w poradni zawodowej służby obywatelskiej przeprowadza się w miłej, jasnej i widnej sali, gdzie instruktorka przed rozpoczęciem pracy, mówi prosto i serdecznie do dziewcząt o znaczeniu prac badawczych. Rozmawia pogodnie, prosząc o współpracę i pomoc.

Dziewczynki są zainteresowane. Wiedzą, jakie ma znaczenie poradnia zawodowa i dokładają starań aby testy wypadały jaknajlepiej. Pracują tygodnie, według zgóry zapowiedzianego planu. Indywidualnie: każda ma ołówek i arkusz papieru na ankietę. Jedna od drugiej oddzielona jest przestrzenią, uniemożliwiającą podszepty lub podglądanie.

Metody są proste. Szeregi odpowiedzi na omówione pytania. Rysunki według wzorów i wskazówek metodycznych. I tu odrazu uderza podejście jednostki do tego samego tematu.

Jedne po drugich idą badania inteligencji, szybkości orjentacji, ogólnego rozwoju umysłowego, tempa pracy, zręczności, oszczędności.

Decyzja zależy od obserwacji psychologa, przyczem zaznaczyć trzeba, że najprostszych aparatów i metod wymaga nowoczesna psychotechnika.

Badania w atmosferze pogody, przyjaźni i powagi upływają z niesłabnącem zainteresowaniem. Czuć, że małe, przyszłe pracownice zdają sobie dokładnie sprawę ze znaczenia każdego pociągnięcia ołówkiem. I bystre oko obserwatora odrazu podchwytuje zniechęcenie, brak wytrwałości, niedokładność, brak orjentacji u każdej poszczególnej kandydatki.

Ale oczywiście żadnych uwag. Jeden za drugim układane są testy z imieniem i nazwiskiem kandydatki. Obliczenia i decyzje zapadną potem. Narazie chodzi o wytworzenie jaknajbardziej podatnego klimatu do wypowiedzenia się psychicznego każdej jednostki. A tego klimatu nie brak w poradni na Mokotowskiej.

Marja Dobrowalska.

Tygodnik Kobiety — pismo o charakterze specjalnym, poświęconym Sprawie Kobiecej, do której podchodzimy nie od strony szumnych haseł, a od strony życia, otwiera szpalty swoje dla wszystkich jego przejawów.

Sprawa kobieca, to nietylko walka o prawa zdobywane i dokumentowane na szerokiej arenie świata, nietylko notowanie dorobków kobiecych w dziedzinie nauki, sztuki, pracy fachowej. Jej ośrodek to wszystkie, pozornie drobne, a w sumie wielkie krzywdy godzin i dni, to wysiłek jednostek, które starają się ochronić te pokrzywdzone przed nędzą i zwątpieniem.

W łańcuchu spraw kobiecych brak mocnego ogniwa szczerego współczucia, lojalnej, czynnej solidarności. Może zbudzimy ją i utrwalimy, chwytając życie na gorącym uczynku, stawiając przed trybunałem serc kobiecych krzywdę i niedolę, która czeka sprawiedliwości i pomocy.

Redakcja.

ZE WSI NOWOGRÓDZKIEJ

Dział korespondencyjny rozpoczynamy reportażem Pani Anny Grudzińskiej, nadesłanym nam z dalekich Kresów, a obrazującym warunki, w jakich żyją polskie kobiety wiejskie w wieku cywilizacji, kultury i postępu.

Wieśniaczka.

Na wezwanie Tyg Kobiet, który interesuje się tak gorąco dolą i sprawą kobiecą, śpieszę by dać obraz, o ile można wierny, życia naszego na Kresach Nowogródzkich.

Zacznę od wsi, której życie i niedolę znam najlepiej. 60% ludności wsi, to kobiety żyjące w upodleniu, niewolnictwie.

Są to smutne skutki carskich rządów. Rządowi carskiemu dogadzało, gdy chłop był ciemny, jak noc, a „jego kobieta" była siłą roboczą, nie wiedzącą nic o sobie, ani o świecie. Tradycyjnie przejął to „rolnik", od dziadów, pradziadów i idzie dalej tą utartą drogą wygody i krzywdy kobiety.

Naogół lud białoruski jest leniwy. Stąd jego nędza, brud i zaniedbanie. Ale kobiety leniwą nazwać nie można, ani bezmyślną. Ona cierpi, bo cierpiały jej matki i babki, ona wie, że wychodząc zamąż nietylko będzie bita, ale traci całą swą swobodę, że będzie wiecznie głodna, że praca jej skończy się z nastaniem nocy, a zacznie z brzaskiem.

Ona-to już o świcie musi dać gotowaną strawę mężowi i dzieciom. Musi wydoić krowę, dać jeść świniom i ptactwu, musi wyprać bieliznę, utkać płótno na koszule, wytkać samodział na ubrania i kurtki dla męża i synów. *To zimą.*

A lato? Latem jest len do pielenia, kartofle, ogród warzywny, robota w polu, gotowanie, pranie, obrządek. Nikt jej nie pomoże, musi wszystko sama robić. Wiecznie brudna, w cuchnącej potem odzieży, z chustą na rozczochranej głowie zwija się i krząta, a mąż zimą leży na piecu pali machorkę, pluje na chatę i wymyśla. Szturchana, bita, nawet w połogu nie uszanowana, rodzi bez pomocy — bo położnych niema na gminach, leży w posoce, jak zwierzę, na gołych deskach, bo szkoda nawet garści słomy, nawet starego siennika.

W 30-tym roku życia, gdy piękne panie są jak świeże kwiaty, rozkwitłe, pełne uroku, one — to staruchy, do wiedźmy podobniejsze aniżeli do młodej istoty, dla której życie dopiero się zaczyna.

Ze zdumieniem trzeba skonstatować, że dziewczęta widząc tę poniewierkę, chcą pomimo to wyjść zamąż.

Jednak stosunki w rodzinnej chacie są takie, że muszą „się ożenić". Pytane czy się nie boją tego bicia i tej pracy nad siły? — mówią: „Wstyd zostać dziewką, do chaty przyjdą bratowe i wyżenią z niej, a starą dziewkę kto weźmie?"

Przezorne matki, wedle tradycji, dziewczynę od 16-tu lat tuczą wszelkiem jadłem, którego inni w chacie nie otrzymują. Słonina i mleko dla niej, jajka dla niej. Ale jeżeli do 20-u lat zamąż nie pójdzie, urywa się tuczenie, a dziewczyna idzie do najcięższej pracy lub do służby.

Jest piękna w swych 18-stu latach, rumiana i tłusta, ma błyszczące oczy, czerwone jak wiśnie usta, ubiera się modnie.

Chodzi na robotę do lasu, czy na cudze pole, a co zarobi, wyda na siebie.

Jeżeli nadto ojciec za nią zapłaci ze 300—400 zł., a doda krowę — to dziewczyna idzie szybko zamąż.

W ciągu lat 7-miu w nowogródzkiem spotkałam tylko 5 kobiet, których mężowie nie bili. Mówię o odcinku gminy, w której mieszkam. Zbadałam, czemu tak jest: dlatego, że kobieta wzięła do swojej chaty i na swoją rolę biednego parobka. Był więc od niej zależny.

„Kużden bije" — twierdzą — „coż ty zrobisz, cierpiet' trzeba i koniec".

Wschodnia białoruś, szczątki niewoli. W świetlicy, gdzie jest ciepło i czysto, gdzie ze ścian uśmiechają się dobre i tak dobrze znane twarze świętych i wielkich ludzi, gdzie mówić mogą bezkarnie i wiedzą, że będą wysłuchane bacznie i zrozumiane właściwie, nie tają się ze swemi troskami.

Kobiety inteligentne powiedziałyby: Ze swą tragedją. One, ten stan uważają za rzecz normalną, przeciwko której trudno się burzyć, trudno z tem walczyć i że tak już będzie zawsze. Póki świat będzie istniał.

Ale serce mają gorące dla swych dzieci: chciałyby je wyciągnąć z tej biedy i upodlenia, uczyć w szkołach, w mieście zrobić z nich „panów", by żyli inaczej.

— „Bo na wsi trzeba przepadać, tylko w mieście ludzie żyją".

Więc, o ile możności wysyłają dzieci do miast, jeżeli nie na naukę, to do służby.

— „Tam się myją mydłem" — opowiada jedna z nich. — A my to za 30 groszy na rok mydło kupujem. Na święta Narodzenia i Wielkanoc.

Nie znoszą opowiadań, książek, ani artykułów o wsi. Tę biedę znają. Po co o niej mowić, kiedy wieczór taki miły, siedzą bez pracy, ręce ich odpoczywają, umyły się, uczesały i włożyły co miały czystego. (Takie są *prawidła* świetlicy).

Proszą by czytać i mówić o mieście, gdzie się jasno palą lampy i latarnie na ulicach, gdzie niema błota po kolana, gdzie można wsiąść w tramwaj i przejechać miasto, zobaczyć piękne kościoły, sztuki, które grają, a nawet Sejm.

Od czasu ostatnich wyborów wiedzą co to Sejm i wiedzą, że kobiety, które one sobie wybrały do sejmu nie weszły.

— Możeby lepiej było, gdyby one rządziły?

Mają same dzieci i kochają je, więc i o dzieciach ze wsi nie zapomną!

A gdy się dowiedziały, że posłanka Prystorowa walczyła o to, by biedne, na śmierć skazane zwierzęta zabijano nie w okrutny sposób i nie pokazywano im, śmierci ich poprzedników, zawołały wszystkie: „dziękujemy tej pani, za to".

A kiedy w gazecie świetlicowej, *jedna* z dziewcząt napisała w rubryce: *Z tygodnia* „W tej niedzieli, jedna dziewczyna, do której chodził Franek Borys i jemu ona pieniądze dała na garnitur do szlubu, pobiła Mańkę Szewko z Kobylniaków, za to że ona choć wiedziała o tem, jego do siebie przymaniła i on do niej teraz chodzi". wszystkie poczęły wołać: kobiety i dziewczęta, że dobrze zrobiła, bo taki teraz wstyd na Mańkę, że żaden jej nie weźmie. „Dobrze jej tak, niech cudzego chłopca nie bałamuci"

Nie pomogła uwaga, że to przecież Borys zawinił i trzeba było jego przetrzepać.

— To nic by nie pomogło — mówią — jak jedna i druga będzie miała wstyd, to lepiej. Chłopiec się bić nie da, a nawet i nie honor bić chłopaka. Dziewczynę można.

One nie zawsze myślą według naszych, utartych form i poglądów, ale rozum ludu i jego sprawiedliwość chodzą innemi drogami.

Anna Grudzińska.

NA MARGINESIE ŚWIĄT

KIELCE — W KWIETNIU.

Urządzanie święconego dla biednych, a właściwie najbiedniejszych, nie należy, w tych czasach specjalnie, do rzeczy łatwych i miłych.

Niedość jest mieć pieniądze, trzeba je umiejętnie i sprawiedliwie zużytkować, dać tam, gdzie bieda nie dopuszcza słońca do wnętrz, a głód trzyma straż u drzwi.

Nim się porozdaje te upragnione i drogocenne zielone karteczki, trzeba obejść wszystkie rodziny.

Obchód jest smutny!

Czasem nas przyjmuje z rozczulającym wdziękiem 26-letnia matka sześciorga drobiazgu i ofiarowuje leśne fiołki, które zebrały najstarsze dzieci na sprzedaż. Bywają jednak wypadki, że łapią za kij na zwróconą uwagę, że konieczne jest mycie dzieciom rąk i twarzy, że usunięcie brudu z izb nie wymaga pieniędzy, lecz trochę dobrej woli.

Izby? Jakież to są te izby?

Na peryferjach biedota ma domki, czy lepianki, jedno lub dwu izbowe. — Ma dom — mówią sąsiedzi, ale ma i głód!

Ten dom to resztki dawnej świetności. — Gdy się miało pracę, gdy mąż żył, gdy były siły do pracy! Teraz domu nie ugryzie, nie ma poprostu co jeść. Po drzewo to jeszcze pójdą do pobliskiego lasu, a żywności niema skąd wziąć, więc węszą, przepytują, gdzie co można dostać. To Polski Czerwony Krzyż, to Rodzina Wojskowa, to magistrat...

Oblegają schody biur, czy osób kierujących rozdawnictwem paczek, zapisuje się 600 osób, a paczek mamy tylko 120! Tych szczęśliwych jest 120 matek, reszta odchodzi przeklinając nas i nasze rodziny.

Mieszkańcy krańców miasta mają cudowne, prawie podgórskie powietrze. Miasto nasze jest otoczone łańcuchami gór podszytych lasami. Pola i lasy, gdzie okiem rzucić. Dzieci przebywają cały dzień na dworze, opalone, nagie. Brakuje im tylko do szczęścia chleba.

A dzieci miejskie?

Nędza miejska to powiększej części dozorcy żydowskich domów.

Jak może pozwolić komisja sanitarna, aby ludzie tak mieszkali?

Na jednej z ulic śródmieścia, gdzie mieszczą się same żydowskie domy i sklepy, szukamy jakiejś Lanczykowej, znajdujemy Nr. 19 i nie mamy odwagi wejść do sieni.

Bramy niema, podwórko szerokości 3, długości 20 m., zastawione beczkami po śledziach. Nawprost sieni ustępy. Ohydny zaduch gnojówki ze śledziami. Przy tych ustępach drzwi do stróżówki.

— Jej tak jeszcze nie jest źle, ma tylko czworo dzieci i męża — mówiły inne.

A stróżówka ma okienko malusieńkie, nad okienkiem i drzwiami okap, więc zawsze ciemno i zawsze ten straszny zaduch.

Dajemy kartkę i idziemy na inne podwórko, gdzie stróżówka mieści się także przy ubikacjach i każde wylewanie z wiader (brak kanalizacji) spływa pod ścianę i przesiąka do mieszkania, a nawet odchody zrobiły sobie koryto i przepływają przez izbę.

— Jestem gdowa, mam dwoje dzieci. Ta starsza mądra, ale młodsza spadła ze stołu i jest głupio, nic nie kłamię, bieda u nas wielka.

Obydwie dziewczynki mają wygląd anormalnych, młodsza ma wiecznie otwarte usta i błędne, bez wyrazu, jakby puste oczy.

Wędrujemy dalej, wązka, długa sień starego domu na rynku. Szukamy niejakiej Milczek.

W ciemnej sieni maleńkie okno i drzwi, tam mieszka Milczek.

Światło dzienne nigdy tam nie dochodzi, palą cały dzień przykręconą, naftową lampkę. Czarno od dymu. W norze mieści się łóżko i kuchenka. Mąż stary bez pracy, ma już 75-ty rok. Dzieci kilkoro.

— Wyjdźcie na powietrze, przecież słońce świeci.

Nie mają w czem, leżą więc nagie, czy w łachmanach, przykryte podartą kapą.

Chciałabym, aby zobaczyły ich twarze, ich zapadnięte policzki o brudnozielonym odcieniu skóry, ich oczy bezmyślne lub złe, mściwe, te matki, które się zamartwiają, że ich jedynak nie chce jeść bananów.

Porównuję te biedactwa z pięknie ubranemi i wyglądającemi jak samo zdrowie dziećmi żydowskiemi z parku.

Chrześcijańskie nie są tak rumiane, tak przesadnie elegancko ubrane i tak arogancko rozkrzyczane, ale i wśród chrześcijańskich biedaków niema tak brudnych, tak żartych przez robactwo, tak obdartych i cuchnących, jak dzieci żydowskie.

Nie słyszałam, żeby temi dziećmi zajmowała się inteligencja żydowska, panie doktorowe i mecenasowe.

Przy rozdzielaniu święconego na pierwszym planie stawiałyśmy rodziny obarczone jaknajwiększą ilością dzieci. Dać im choć na 2 dni świąt lepsze pożywienie to był nasz cel. Byłybyśmy szczęśliwe mogąc obdzielić wszystkie dzieci naszego miasta. Mogłoby to nastąpić, gdyby wszystkie kobiety-matki zrozumiały, że jest dużo, dużo dzieci równie mądrych, pięknych, dobrych jak ich pociechy, tylko, że zamiast futerek noszą podarte barchany, a zamiast bananów jedzą rozgotowane ziemniaki.

Ofiarujcie na przyszłe święta choć małą cząstkę tego co przeznaczacie dla swoich dzieci one tego nawet nie zauważą! cóż znaczą jedna babka, jeden mazurek mniej, a za tę cenę biedacy będą mieli kluski z białej mąki kraszone słoniną!

Stanisława Umiastowska.

OKNO NA ŚWIAT

Salony piękności w Sowietach

Za wielkie przestępstwo, za kontrrewolucyjną działalność uważano do niedawna w Sowietach pielęgnowanie kobiecej urody, dbanie o wygląd zewnętrzny. A już odrobina pudru czy różu wystarczała, aby zasłużyć na najbardziej nienawistne miano, miano „burżujki".

Obecnie zmieniły się „rewolucyjne" poglądy na urodę kobiet, które zresztą nie bacząc na żadne represje, postanowiły być piękne. Nawet żona prezydenta Mołotowa wypowiedziała się na łamach prasy za pielęgnowaniem kobiecej urody.

Problemem tym zainteresowały się i wyższe władze sowieckie. Ustalono trust perfumeryjny, kierowniczką jego mianowano p. Mołotowową i wysłano ją do Ameryki, celem zbadania tajemnic salonów piękności.

Pani Mołotowowa od dłuższego czasu bawi w Ameryce. Zwiedza salony piękności, fabryki kosmetyczne i po powrocie do Sowietów potrafi nauczyć swoje rodaczki racjonalnej pielęgnacji urody.

Ale...

Kierowniczka trustu perfumeryjnego lęka się czy znajdą się w Rosji kapitały, nieodzowne do fabrykowania perfum i środków kosmetycznych.

Chociaż... Ce que la femme veut...

Holenderska następczyni tronu

Ogromny kłopot ma Holandja z księżniczką Juljanną, następczynią tronu. Wychowana bardzo nowocześnie, nie chce się poddawać surowym wymogom dworskiej etykiety. Zbyt nęci ją swoboda studencka, do której przywykła na uniwersytecie. Skończyła bowiem dwa fakultety: prawo i filozofję.

Księżniczka Juljanna jest gorącą zwolenniczką sportów. Gra w tenisa, prowadzi samochód, ale najwięcej lubi jazdę na rowerze. I jeździ na nim jak jedna z tysiąca Holenderek, sama, bez żadnej eskorty, zagubiona w szarym, ulicznym tłumie. Niedawno cudem tylko uniknęła zderzenia z rozpędzonym samochodem, a w parę dni później nieomal nie przejechał ją wóz.

Ale na tem nie kończą się kłopoty Holandji z następczynią tronu. Księżniczka Juljanna jest bardzo inteligentna i wykształcona. Trudno znaleźć dla niej odpowiedniego męża. A następczyni tronu musi przecież wyjść za mąż!

Przytem księżniczka Juljanna nie jest bynajmniej piękna. Niewysokiego wzrostu, przysadzista, o rudych włosach, nie ma w sobie nic z miękkości i powabu kobiecego.

Holandja ma ciężki orzech do zgryzienia ze zbyt demokratycznie wychowaną księżniczką!

Ciche bohaterki

W szeregach ludzi, którzy poświęcają swoje życie służbie zdrowia, wielu jest bohaterów. Nie pozostaje po nich nic, prócz drobnej wzmianki w gazetach, prócz łez, wylanych przez ich rodziny. Praca ich jest ciężka, żmudna, mozolna, opromieniona tylko poczuciem spełnionego obowiązku.

Do takich cichych bohaterów należała francuska lekarka, Edyta Seiffert, która niedawno zmarła na posterunku.

Młoda, jasnowłosa, o dużych, niebieskich oczach, wesoła i pogodna, od dzieciństwa marzyła o samarytańskiej służbie. Mając 25 lat skończyła medycynę i zaczęła pracować w szpitalu Saint Louis w Paryżu. Pracowała bez wytchnienia, nie licząc godzin, które spędzała w białych salach, nie dbając zupełnie o siebie.

Niedawno na jej górnej wardze ukazał się pryszczyk. Młoda lekarka nie zwróciła na to uwagi. Jednakże przy leczeniu chorych łatwo o infekcję, która przy zaniedbaniu nieraz kończy się gangreną...

Edytę Seiffert błogosławią chorzy nawet po śmierci.

Inną cichą bohaterką jest młoda pielęgniarka, pracuje w szpitalu paryskim na oddziale nerwowo chorych Nikt nie zna jej nazwiska. Nazywają ją M-elle Savina. A jednak jej odwaga uratowała życie kilkunastu chorym.

Podczas jej nocnego dużyru jeden z chorych, Oliver Guillaume, olbrzymi, silny mężczyzna, ważący 100 kg., zerwał się nagle z łóżka, schwycił stołek i runął na innych chorych. Nie tracąc przytomności umysłu Savina rzuciła się na szaleńca i nie zważając na ciosy, których jej nie szczędził, uczepiła się jego rąk, wzywając jednocześnie pomocy. Gdy wreszcie przybyli sanitarjusze i obezwładnili szaleńca, okazało się, że Savina jest poważnie ranna.

— Spełniłam tylko swój obowiązek — mówiła spokojnie, chociaż długie tygodnie przeleżała w łóżku.

Edyta Seiffert i M-elle Savina nie są wyjątkami. Takich cichych bohaterek jest bardzo wiele. Kryją się one przed ciekawością ludzką i jedyną ich nagrodą jest poczucie spełnionego obowiązku, które dobrowolnie wzięły na swoje barki.

Jak za czasów romantyzmu...

Minęły czasy trubadurów, tęsknych serenad, śpiewanych pod oknami ukochanych. Do przeszłości należą też gorące uczucia, łamiące czasami życie.

A jednak zdarzają się jeszcze wypadki, gdy miłość naprawdę łamie życie.

Niedawno umarła w Bratislavie (Czechosłowacja) Ida Malavicz, którą całe miasto nazywało „wieczną narzeczoną". Przed 29-tu laty należała ona do najpiękniejszych dziewcząt w Bratislavie i miała olbrzymie powodzenie. Na swoje nieszczęście zakochała się w pewnym oficerze, który niebawem poszedł na wojnę.

Przez dłuższy okres czasu Ida regularnie otrzymywała listy od narzeczonego, aż nagle korespondencja się urwała. Młody oficer przestał odpowiadać na listy narzeczonej.

Przerażona, niespokojna o los najdroższego człowieka, naprożno kołatała do rozmaitych instytucyj. Nikt nie mógł jej objaśnić co się stało z młodym oficerem. Wreszcie przybyła wieść tragiczna. Narzeczony padł na polu walki.

Od tego dnia Ida przestała się interesować swoją powierzchownością i całe dnie chodziła bez celu po ulicach, opowiadając głośno o swojem nieszczęściu. Po śmierci rodziców, stoczyła się na dno. Pijana, brudna, zaniedbana, niepodobna do ślicznej dziewczyny, która uchodziła za niepospolitą piękność, zmarła niedawno w przytułku dla bezdomnych, gdzie umieściły ją władze. Przed śmiercią, gdy leżała w malignie, powtarzała jeszcze imię ukochanego, którego przez całe życie nie mogła zapomnieć.

W małem miasteczku angielskiem Middlesex mieszkała Karolina Bowell, która przez 26 lat nie mówiła ani jednego słowa.

Miss Bowell, która niedawno zmarła, była również ofiarą wielkiej miłości.

Przed 26-ciu laty zakochała się w pewnym mężczyźnie, wywędrował on niebawem do kolonij angielskich i wkrótce poszedł na wojnę światową. W chwili pożegnania Karolina przysięgła, że do powrotu ukochanego nie opuści pokoju i nie zamieni z nikim ani słowa.

Narzeczony zginął na wojnie. Karolina Bowell dotrzymała przysięgi...

Argus.

William Locke

Uzurpator

Przekład autoryzowany Ludwiki Ciechanowieckiej

Powieść

W kilka tygodni później zdarzył się nowy, nieważny napozór incydent, który również sczasem uleciał z pamięci dobrodusznego miljardera.

Jasper przechowywał w jednej z szuflad, w sypialnym pokoju dziwaczną kolekcję fajek. Był to zbiór bezwartościowych pamiątek i antyków, wysłużonych, poczerniałych od starości fajek-emerytek. Właściciel osobliwej kolekcji nieraz ją podziwiał i zabawiał się układaniem fajek w specjalnych skrzynkach. Czynił to z pasją pedantycznego zbieracza. Nikt nie śmiał zaglądać do owej skarbnicy, toteż Jasper zdumiał się wielce, gdy dostrzegł razu pewnego ślady obcej gospodarki. Piękna fajka z morskiej pianki, rzucona niedbałą ręką, leżała wpoprzek drewnianej skrzynki. Dało to do myślenia Jasperowi, ale ważniejsze sprawy odsunęły drobną przykrość, na dalszy plan.

Innym razem, późną nocą, usłyszał szelest kroków na niższem piętrze. Zerwał się z łóżka i pobiegł na dół, lecz nie zastał tam nikogo. Sądząc, że padł ofiarą imaginacji, wrócił do sypialni.

Tymczasem Burke, skulony za kanapą w gabinecie, wylazł ostrożnie z ukrycia i zapalił elektryczną latarkę. Był bosy i w bieliźnie. Podszedł na palcach do biurka i otworzywszy wytrychem szufladę, zaczął przeglądać dokumenty.

Rozdział XV.

Po premjerze „Wina" i pojawieniu się zbioru poezyj „Carmina Amoris" — Bunny stał się z dnia na dzień „gwiazdą literatury", w dodatku gwiazdą pierwszej wielkości. Wieść o jego bahaterskim wyczynie jeszcze przysporzyła mu sławy. Podczas premjery reżyser skorzystał ze świetnej okazji, by zrobić reklamę sztuce i autorowi. Wystąpił tedy przed kurtyną i oznajmił gromkim głosem, że autor jest nieobecny, gdyż bawi w zamorskim kraju, gdzie bierze udział w krwawych bojach, o wielkość brytyjskiego imperjum.

W odpowiedzi zerwała się burza oklasków. Sztuka stała się w jednej chwili ‚kasową". Dyrektor teatru puszył się, jak paw — zdawało mu się, że i on jest bohaterem, zbierającym laury, na polu chwały. Bunny nawet się nie domyślał, że na Coram street gromadzą się skarby, o których nigdy nie marzył — pieniądze, dary i widome oznaki hołdów, składanych wielkiemu poecie. Zważywszy jednak, iż nikt nie znał adresu Bunny'ego, radosne wieści nie doszły do niego i nie zakłóciły mu spokoju.

Nadeszła wiosna.

Pewnego dnia lady Alicja wyczytała w porannym dzienniku, nazwisko ochotnika Bunny Tredgolda. Obok nazwiska zamieszczono lokaniczny dopisek: ciężko ranny.

Lady Alicja zerwała się z miejsca i podeszła do okna. Widziała przez łzy ogród, skąpany w słonecznych blaskach, radosne, kwitnące drzewa i niewinną zieleń młodych trawników, ale przesłoniła je wizja tonącego we mgle nagiego stepu i, leżącego w kałuży krwi, młodego żołnierza. Raz jeszcze spojrzała, na złowróżbną listę rannych. W uszach jej zadźwięczały zimne złe słowa: „ciężko ranny", a potem nazwa pułku, miejscowość i nazwisko.

Poczuła piekący ból w sercu; współczuła Bunny'emu, a jednocześnie miała żal do siebie, że pozwoliła mu odejść. Wstrząśnięta do głębi usunęła się bezwolnie, na krzesło i w poczuciu własnej bezsiły, rozpłakała się na głos, ale rychło się ocknęła, spłoszona skrzypnięciem otwieranych drzwi. Nikt nie powinien widzieść moich łez — pomyślała ze strachem.

— Przyszła panna Fargus — oznajmiła pokojówka.

Panna Fargus pełniła u Alicji obowiązki maszynistki — każde jej pojawienie się, było hasłem rozpoczęcia pracy w „biurze". Pokojówka zniknęła za drzwiami.

Alicja otarła oczy. Wstyd jej było własnej słabości, czuła jednak, że nie będzie wstanie spełniać zwykłych czynności, które straciły wszelki sens, wobec potrzeb żołnierzy zabłąkanych w przestrzeni. Postanowiła zająć się zorganizowaniem pomocy dla Bunny'ego, lecz po raz pierwszy uświadomiła sobie, że jest słabą, niezaradną kobietą.

W jednej chwili straciła wszelką pewność siebie. I nagle ujrzała w myśli spokojne, a twarde oblicze Jaspera.

Otucha wstąpiła w jej serce. Westchnęła z ulgą i uśmiechnęła się.

— Tylko on — wyrwało się jej na głos, — muszę go natychmiast zobaczyć.

Wiedziona przemożną tęsknotą do jedynego człowieka, który w danej chwili mógł jej służyć dobrą radą, zamówiła powóz i kazała się zawieźć na Gower street.

— Czytałem tę smutną wiadomość — rzekł Jasper, głosem drżącym od wzruszenia.

— Musimy coś dla niego uczynić. Za wszelką cenę. Nie można go zostawiać w tym strasznym kraju — mówiła Alicja załamując ręce.

— Już wysłałem depeszę. Trzeba poczekać na odpowiedź. Dowiemy się szczegółów. Telegrafowałem także do Bunny'ego i — nie pytając pani o pozwolenie wymieniłem pani nazwisko. Bóg jeden wie, czy i kiedy otrzymamy odpowiedź.

(D. c. n.).

ŁZA

Hanka znała Kalińskiego od trzech miesięcy. Przez ten czas widywali się codziennie, spędzając długie godziny na miłych i ciekawych rozmowach. Nie na flircie.

Hanka dzieliła mężczyzn na dwie kategorje: na tych, z którymi się flirtuje i tych, z którymi można mile rozmawiać. Tych ostatnich było znacznie mniej, ale z nimi jedynie Hanka liczyła się trochę. Innych traktowała z nonszlancką, wyzywającą i pogardliwą kokieterją. Dlatego pewno miała tak wielkie powodzenie. Mężczyźni lubią, kiedy ich się maltretuje; nic zaś nie zniechęca ich bardziej jak to, gdy widzą, że kobiecie na nich zależy.

Hanka otwarcie kpiła z mężczyzn. Mówiła im, że są egoistami i brutalami, którzy myślą przedewszystkiem o własnej przyjemności i wygodzie. Znosili potulnie te zarzuty, wypowiadane z ogromnym tupetem i czarującą pewnością, bo wtedy każdy z nich myślał tylko o tem, jakby zamknąć pocałunkiem te prześliczne, nieznośne, rozgadane usta.

Gdy Hanka poraz pierwszy zobaczyła Kalińskiego, odrazu zaliczyła go do zaszczytnej, drugiej kategorji. Był przecież taki zupełnie inny od wszystkich znanych jej „okazów".

Nieładny, ale rasowy, miał bardzo powściągliwy sopsób bycia. Uderzał w nim dziwny spokój, lecz nie spokój znudzonego światowca którego nic nie bawi; raczej człowieka patrzącego głęboko i uważnie w życie. Hankę zachwycił mądry wyraz jego oczu i dobry wyraz ust. Wyczuła w nim mężczyznę dalekiego od szablonu, a przez to godnego jej zainteresowania. To też szczerze ucieszyła się, gdy po pewnym czasie doszła do wniosku, że i ona nie jest Kalińskiemu obojętną. Okazywał jej to na każdym kroku, ale tak dyskretnie i subtelnie że tylko Hanka sama mogła to wyczuć sercem, coraz bardziej uwalniającem się z dawnych do męskiego rodu uprzedzeń.

Mówili o swej przyjaźni, ale czuli oboje, że miłość drzemie wewnątrz tej przyjaźni, jak kwiat w pąku. I Hanka choć udręczona, była bardzo szczęśliwa. Wtedy to spadła na nią, jak grom wiadomość, że Kaliński jest żonaty.

Gdyby wiadomość tą usłyszała od której ze swoich przyjaciółek, mogłaby wcale nie uwierzyć. Ale powiedziała jej o tem pani Julja Niwińska, koleżanka matki, i Hanka nie miała żadnej podstawy wątpić o prawdzie jej słów. Wiedziała, że panią Julją kieruje jaknajlepsza intencja. Znała Hankę od dziecka i nie chciała, aby dziewczynę spotkał przykry zawód. Hanka zrozumiała to, oceniła i pomimo, że wiadomość ta była prawdziwym gromem z jasnego nieba podziękowała serdecznie pani Julji.

Prędko wróciła do domu wmawiając sobie po drodze, że nie wolno jej rozmazywać się i tracić głowy. Nie byłoby to w Hanczynym stylu, a styl przedewszystkiem.

Zdecydowała, aby jaknajprędzej, tego samego dnia jeszcze, zobaczyć się z Kalińskim, powiedzieć mu kilka mocnych, dobitnych słów prawdy, a potem wyrzucić go „tout simplement" na zbity łeb. Hanka wyobrażała sobie z gorzką satysfakcją jak to będzie wyrzucać Kalińskiego na zbity łeb, a jednocześnie czuła głęboko ją nurtujący żal.

Więc „on" nie był żadnym niezwykłym człowiekiem? Był, taki, jak inni, gorszy nawet, bo oszukiwał Hankę. Dlaczego okazywał jej tyle, kiedy miał własną żonę i nie powinien był tak postępować? A może brał Hankę za jedną z tych modnych łatwych panien, lubiących ryzykowne flirty z żonatymi? Nieśmiałość i zawstydzenie jakie ogarniały ją nieraz w jego obecności, uważał pewno za objaw perfidnej kokieterji. Nie nosił obrączki; ukrywał, że nie jest wolny.

Ale się pomylił! Sam był taki, jak wszyscy, ale Hanka była inna. Kaliński pójdzie precz! Nikt po nim płakać nie będzie!

Zrozumiała, że te ostatnie słowa są tylko buńczucznym frazesem bo przecież napewno będzie płakać i bardzo; że wogóle jest jej okropnie coraz okropniej — źle smutno, nieznośnie. Niby w kalejdoskopie plątały się i zmieniały: zdziwienie, niedowierzanie, żal, wściekłość, oburzenie urażonej dumy, wreszcie — miłość. Bo właśnie teraz Hanka zupełnie wyraźnie uczuła, że kocha.

Tembardziej jednak postanowiła nie odstępować od swojego zamiaru. Ambicja cierpiała w niej przecież niemniej od miłości.

Momentalnie, gdy przyszła do domu, zadzwoniła do Kalińskiego. Odpowiedziano jej, że w tej chwili wyszedł i niewiadomo, kiedy wróci. Mówił głos kobiecy. Dawniej Hanka brała go za głos służącej, dziś pomyślała: „Żona!" i aż zbladła z nagłej pasji.

Przypomniała sobie jednocześnie pewien szczegół. Kaliński, rozmawiał z nią przez telefon zawsze dziwnie oficjalnym tonem. Teraz wiedziała dlaczego. Żona znajduje się w pobliżu.

Zacisnęła pięści. Gdzie mógł pójść ten człowiek? Tak pragnęła by się wszystko odbyło jaknajprędzej; chciała zrzucić ze siebie miotające nią uczucia, jak niepotrzebny, zły ciężar. A potem zostać sama i płakać!

Zaledwie jednak to pomyślała, zadźwięczał dzwonek i Hanka usłyszała z przedpokoju znajomy, pytający o nią głos.

Kaliński! Wyszedł od siebie do niej! Gorączkowo poprawiła włosy i usiadła na kanapie, prosząc gorąco Boga o potrzebne w tej chwili siłę, energję, stanowczość, a gdy zapukano do drzwi, odpowiedziała: „Proszę!" — prawie zupełnie spokojnie.

Gość wszedł i zbliżył się prędko do siedzącej. Gdyby Hanka patrzyła na niego, zobaczyłaby, jak bardzo są za nią stęsknione, rozumne oczy mężczyzny. Ale Hanka nie patrzyła. Zamiast podać rękę przybyłemu, cofnęła ją w tył i rzekła tylko:

„Proszę, niech pan siada! Muszę z panem pomówić!"

Kaliński zaczewiernił się, a potem zbladł. Twarz drgnęła mu nerwowo. Siadł w milczeniu.

Wtedy Hanka powiedziała bez żadnych wstępów:

„Dowiedziałam się, że pan jest żonaty? Czy to prawda?"

Słyszała swój własny głos niby czyjś obcy, nienaturalny i przesadnie oschły. Jednocześnie gdzieś w głębi serca czaiła się nadzieja: „A może zaprzeczy? Może to nieprawda?!"

Kaliński nie zaprzeczył. Odpowiedział: „Tak, jestem żonaty!"

Parsknęła krótkim, wzgardliwym śmiechem.

„Szkoda że nie powiedział mi pan wcześniej!"

Uniósł ją żal więc krzyknęła:

„Czy pan nie rozumie, że nie powinien pan był ukrywać tego!"

— Tak rozumiem!

Otworzyła usta, by mówić dalej, ale ton Kilińskiego rozbroił ją. Wiedziała, że już nie zdobędzie się na żadne silne słowa. Nerwy drżały wyczerpane. Wypowiedziane słowa były raczej prośbą, niż rozkazem:

„Niech pan sobie idzie!"

Potem odwróciła się do ściany i ukryła twarz w dłoniach. Wszelka siła odeszła. Zbyt na nią liczyła. Była zwyczajną słabą kobietą. A teraz chciała tylko móc płakać płakać bez końca!

Po jej ostatniem powiedzeniu zrobiło się zupełnie cicho i Hanka odniosła wrażenie, że jest już sama w pokoju. Miała się odwrócić, gdy na-

gle uczuła obejmujące ją mocno ramiona. To był on. Nie wyszedł.

„Jak pan śmie?!" zawołała, wyrywając się, oburzona, a jednocześnie wytrącona z równowagi bliskością kochanego mężczyzny. „Proszę mnie puścić w tej chwili!!"

Rzekł bardzo cicho: „Nie puszczę pani!"

Zaczęła walczyć rozpaczliwie. Kurczyła ciało, aby wyśliznąć się z uścisku; małemi pięściami biła mocno w nieustępliwe piersi śmiałka; jej długie warkocze które nosiła upięte nad czołem, rozplotły się i skręcały przy gwałtownych ruchach, jak czarne węże.

Wreszcie osłabła zupełnie i wybuchnęła głośnym płaczem.

Płakała długo. Nie mogła zaprzeczyć, że możność ulżenia swym smutkom w objęciu czułych, drogich ramion jest wielką pociechą. To też wkońcu przestała płakać. Okazało się jednak, że, o! wstydzie, nie ma przy sobie chustki do nosa. Wtedy Kaliński z iście kobiecą pieczołowitością otarł spłakaną twarzyczkę. Potem puścił Hankę z objęć i rzekł miękko: „Teraz może pani zechce mnie wysłuchać?!"

Zaczął mówić o swojem małżeństwie. Ożenił się bardzo wcześnie. Miał lat 20, był wtedy na politechnice. Znajdował się w ciężkich warunkach materjalnych. Małżeństwo z kobietą bogatą, choć o czternaście lat starszą od niego, było może warjactwem, ale pomogło ukończyć studja, odbyć praktykę zagranicą i stało się podstawą karjery, która u wielu budziła podziw i zazdrość.

Z żoną stosunki ułożyły się dobrze. Brak miłości zastąpił Kaliński przyjaźnią i wdzięcznością. Nie mógł zapomnieć tego, co zawdzięczał żonie. Nietylko rozporządzał całym jej majątkiem: pomagała mu w studjach i pracach laboratoryjnych, a teraz — w wielkiem przedsiębiorstwie technicznem, które Kaliński sam założył i które naprzekór złym konjunkturom, prosperowało doskonale. Słowem, była dobrą, pożyteczną towarzyszką w ich wspólnej życiowej wędrówce. Prawdopodobnie dzięki temu wszystkiemu a także własnej wrodzonej uczciwości, Kaliński zdołał dotąd uniknąć poważniejszych, erotycznych powikłań. Miał, jak inni, lekkie przejściowe flirciki, ale bez żadnych następstw.

Dopiero kiedy poznał Hankę, spostrzegł, jak jego cały system uczuciowy zaczyna się radykalnie zmieniać. Jakby dopiero teraz zobaczył różnicę wieku między sobą a żoną, która była przecież już pięćdziesięcioletnią kobietą, podczas, gdy on miał zaledwie trzydzieści sześć lat.

Z Hanką weszła w jego życie prawdziwa, obywająca się bez pomocy kosmetyków młodość.

To co obudziła w Kalińskim a co rosło w nim z dniem każdym, jak kwiat w słońcu, dawało sobie radę ze wszelkiemi skrupułami. Egoizm argumentował niezbicie pragnieniem szczęścia, nieznanego dotąd, i głuszył inne rozumowania.

Kaliński nie ukrywał, że jest żonaty. Nie miał tego zamiaru. Zdawało mu się że Hanka wie o jego małżeństwie. Przypuszczał, że jej powiedziano. Raz chciał sam poruszyć z nią ten temat. Ale wtedy zląkł się nagle, że to ją może spłoszy. Poznał dobrze jej ambicję. Nie zastanowił się, jak bardzo źle robi. To była jego wina i do niej się poczuwał.

Hanka jednak nie wiedziała, że właśnie od tej chwili postanowił za wszelką cenę zdobyć wolność.

Żona, spostrzegawcza bardzo, zauważyła jego zmianę i spytała o powód. Wtedy powiedział jej, że chce być wolny. Zdziwił go spokój z jakim wysłuchała jego zwierzeń. Poprosiła tylko by, nim zadecyduje ostatecznie, sprawdził swoje uczucia, czy się nie myli.

Jak mógł się mylić? Ktoś widząc kwiaty, zieloność i słońce, nie będzie się przecież upierał, że to zima? W Kalińskim kwitło wszystko i była wiosna. Ale teraz chodziło o coś zupełnie innego, o to co powie Hanka?

Spacerował prędko po pokoju. Rosło w nim zdenerwowanie.

Wreszcie stanął przed Hanką. Był bardzo blady.

„Powiedziałem pani wszystko" — rzekł — „Przyznaję, że mojemu zachowaniu można robić zarzuty. Trochę usprawiedliwia je specjalna, męska logika. Zresztą, mniejsza o to! Teraz pani musi się odezwać! Ja nic więcej nie będę mówił! Musi pani odpowiedzieć na pytanie! Chyba pani domyśla się na jakie?!"

Ujął jej małą, chłodną rękę. Wzrokiem, pełnym niespokojnego oczekikania, zawisł na ustach Hanki.

Przez cały czas słuchania były zamknięte te śliczne, świeże dziewczęce wargi ale w tej chwili Kaliński ujrzał, że się uśmiechają.

Podniosła głowę i spojrzała na mężczyznę. Miała oczy wilgotne i błyszczące, jakby wypolerowane łzami.

Rzekła: „Przecież pan dotąd ani razu nie powiedział wyraźnie, że mnie kocha! Cóż więc ja mam mówić!?"

Porwał ją w objęcia. Z ustami tuż przy jego ustach szepnęła:

„A to jest moja kobieca logika!!"

(D. n.). *Olena Michalska.*

BABCIA PANÓW OFICERÓW

ILUSTROWAŁA Z. JACHIMOWICZÓWNA.

Zaczęło się od tego, że w dniu trzecim maja oficer przechodzący przez plac Zamkowy natknął się na jednym z narożników ulicznych na żebrzącą staruszkę.

Niebyłoby w tem nic nadzwyczajnego gdyby nie to, że w pomarszczonej, żylastej dłoni babiny furkotała wesoło mała, biało-czerwona bibułkowa chorągiewka.

Okazało się, że chorągiewka nie była na sprzedaż, ani za 10 groszy, ani za 25! Była ona osobistą własnością babci, narówni z jej połataną sukieńczyną, obszarpaną chustą, sękatym kijaszkiem i plecionym koszykiem.

Babcia kupiła chorągiewkę w sklepie z materjałami piśmiennemi, płacąc za nią żywą gotówką, otrzymaną od kasjerki.

Tego trzeciego maja można było zjeść jedną bułkę mniej, aby uczcić święto narodowe!

A więc babcia jest patryjotką? I to patryjotką ofiarną, radującą się na stare lata barwą narodowej chorągiewki! Jeżeli tak, to niech Babcia przyjdzie jutro przed koszary pułkowe na taką, a taką ulicę, pod ten, a ten numer domu o godzinie oznaczonej.

Czy trafi? Czy nie zapomni?

Okazuje się, że trafi. Uzbiera więc sobie na ten drugi dzień tyle drobnych od panów oficerów i panów podoficerów, jak nigdy. Jak nigdy!

— A niech im tam pan Bóg da wszystko naljepsze! A niech ich Panienka Przenajświętsza wspomaga! A niech ich Święty Michał od wojny chroni!...

Morowa jest ta babcia! Niech zawsze przyjdzie we wtorek do nich o tej samej porze i niech sobie na tych



Jak zawsze w ten piątek babcia chodzi po żebranym.

stopniach przysiądzie i poczeka. A co piątek niech zajdzie przed kuchnię żołnierską po resztki z kotła.

. . . .

Jak zawsze w ten piątek babcia od sklepu do sklepu na Świętojańskiej chodzi po żebranym. Po wygiętym dziwacznie chodniku stąpa, wielkie kliny skarpów omijając i do sklepów zachodząc.

Do szewca co na wystawie, tuż nad brukiem ulicznym, poukładane ma trzewiki do góry pięknie narychtowanemi podzelówkami.

Do jatki co na lewo pod sklepieniem łukowem, gotyckiem się mieści. Mięso tu trzymają w piwnicy zamkniętej na pięknie rzeźbioną kłódkę i dają babci zawsze całego piątaka.

Do fryzjera, u którego golenie kosztuje 30 groszy, strzyżenie 50, a poprzez szybę czerni się długie i grube pasmo splecionych w warkocz włosów.

Do mydlarni, bardzo kolorowej i błyszczącej od tych pudełek, mydeł, a motków żółtego i zielonego szpagatu.

Latarnia pięknie cyzelowana wisi na rzeźbionych łańcuszkach i złocona suto palma zieleni się na staromiejskim murze.

Trzeba uzbierany grosz schować w supełek chustki, podreptać do koszarowej kuchni i na brzegu chodnika przysiąść.

Co oni tu gotują w ten piątek te bezbożniki? Niesie tam z otwartych okien tłustością przedziwną.

Do koszyka, w którym garnuszek niebieszczeje, naleją dzisiaj wczorajszej zupy, tej z kotła... Ale jakiej? Czy będzie to grzybowa? Bo inną grzech jeść przy tym poście.

Pachnie grochówka z majerankiem wyniesiona przez żołnierza z roześmianą gębą.

— „A postna ona jest ta zupa, panie kapral?"

— „Ma się wi"

Rozsupłują wykrzywione palce węzły, na róg związanej chusty. Czerstwy chleb, okrajany ze skóry, drobią i kruszą. Cynowa łyżka miesza wkoło to jadło.

Przechodzący pan major na kolana rzuci dziesiątkę jedną i drugą.

Poprzez grube, przędzowe pończochy przenika ciepło słoneczne.

Niema jak te wojskowe ludzie. Gdzie im tam do cywili!

. . . .

Wloką się żebracze kroki na drugi koniec miasta w dniu 11-tym listopada. Człapią po błotku ulicznym przy-



„A postna ona jest ta zupa panie kapral?"

deptane buty o zawiniętych nosalach. Sznurowadeł już one dawno nie widziały, kolebią się więc zdarte cholewki przy każdem stąpnięciu.

Przesuwa się pod ścianami domów zgięta we dwoje, podparta kijaszkiem babina. Włóczkowa chuścina zsunęła się całkiem. Ileż to wysiłku zaczem się ręką sięgnie wzwyż do głowy.

Na rogu Miodowej nie wie babcia, jak się ma przedostać na drugą stronę ulicy, tak ci te taksówki walą i walą. Na rogu placu Teatralnego o mały włos nie wpada pod wielki, czarno malowany autobus. Trudno — stara jest to i nieruchliwa, ślepa i głucha.

Ale w końcu dojdzie ona na tę daleką ulicę, którą wojsko na Rewję jechać będzie. I przystanie w pierwszym rzędzie na samym skraju trotuaru i zepchnąć się z tego miejsca nie da nikomu. Ani eleganckiemu państwu, ani inszemu narodowi, ani samemu panu władzy!

Wojsko z muzyką jedzie! Z muzyką polską i z orłem na czarnej chorągiewce! Piękne wojsko! Galante chłopaki! Nie takie tam dawne ruskie sołdaty, co po ulicach wydzierały się, jakby ich kto ze skóry obdzierał i dziegciem śmierdziały na milę!

Piechota! Ułany! Armaty!

Babcia bardzo jest z polskiego wojską zadowolona. I bardzo jest ze siebie rada, kiedy znajomemu inwalidzie da wieczorem całą dwudziestkę, oszczędzoną sumiennie.

. . . .

Jak walka z żebractwem — to walka. Niewolno wbrew przepisom postępować. Trzeba więc babcią się zająć— i umieścić ją w przytułku. Wysłużyła ona sobie zasłużoną emeryturę — tym ujmującym prymitywem patrjotyzmu.

Zajmijcie się tą sprawą jeden z drugim. Zrozumiano?

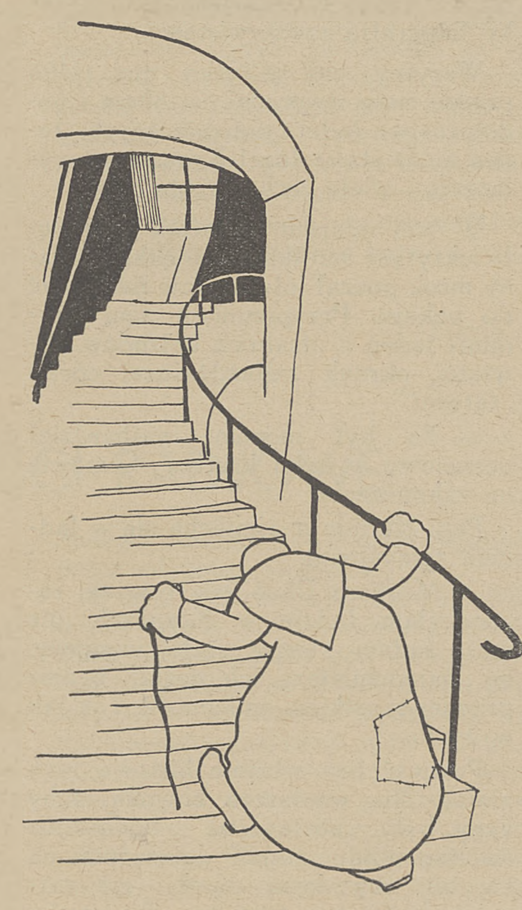
Rozkaz...

Umieszczono babcię w przytułku.

Babcia już dawno takiego spokoju nie miała jak teraz. Takiego łóżka! Takiego jadła!

Tylko, że jej się markoci poprawdzie do dawnego życia. To westchnie. Pacierze za pomyślność panów oficerów odmówi i pod koszary zajdzie, aby się im pięknie pokłonić i za wszystko dobre podziękować...

Janina Surynowa-Wyczółkowska.



Umieszczono babcię w przytułku....

U HERMINJI NAGLEROWEJ

Okna pokoju, w którym pracuje Herminja Naglerowa wychodzą na Wisłę. Nie jest ona bliska i szumiąca, bezpośrednio uchwytna, ale wchodzi do pokoju jako nastrój: szarość i dal. W tej atmosferze, wydaje mi się, niewiem dlaczego, że jedynej, powstała ostatnia książka Naglerowej p. t. „Krauzowie i inni". Chociaż nie, książka właściwie nie powstała, a powstaje ciągle, obejmując, wchłaniając coraz większy splot spraw, domagających się omówienia. Bo to jest tak: wyszedł pierwszy tom powieści p.t. „Krauzowie i inni", dalsze tomy ukażą się niezadługo. Będzie to pierwsza część wielkiego cyklu p. t. „Kasjery", który pisze, o którym ciągle myśli, którym twórczo żyje Herminja Naglerowa.

„Krauzowie i inni". Gdy siedząc w czarującym stylowym saloniku rozpoczynam o nich rozmowę, mądre po japońsku skośne oczy Naglerowej nabierają szczególnego blasku.

— To była książka, którą koniecznie musiałam napisać—mówi na wstępie. — Nie jest to jednak wykwit fantazji, który w ten czy inny sposób trzeba było wyrazić. To jest nawrót do przeszłości. ucieleśnienie wspomnień, hołd oddany stronom lat dziecięcych.

— Czy i ludziom?

— I tak i nie. W „Krauzach" niema ani jednego człowieka. który byłby fotografją rzeczywistości.

Wszyscy oni są tylko moi, tylko przeze mnie stworzeni, na obraz i podobieństwo ludzi tamtowiecznych. Jeden może stary Józef Krauze ma wyłącznie i wiele cech mojego ojca...

W tem miejscu rozmowa zapłonęła ukrytym smutkiem; miękki, wiślany mrok począł intensywnie napływać do pokoju. Przypominam pani Herminji jeden z otsatnich epizodów powieści, okrzyk odjeżdżającej córki: „tatusiu".

— To był moment najbardziej uczuciowy w całej książce — mówię na zakończenie.

Pani Herminja uśmiecha się w ładnem zamyśleniu.

— Możliwe. Choć, jak to wyżej zaznaczyłam, ludzie w Krauzach nie mają żadnej swojej stałej wymowy, bo najważniejszą ich cechą będzie przedewszystkiem zmienność. Tak jak w życiu.

Powieść jest właśnie historją tych zmian. Nie wystarcza bowiem, żeby typy były „postawione"; budowanie światopoglądu ludzi dojrzałych na tle tej czy innej epoki, jest najwdzięczniejszym tematem dla powieściopisarza. I dlatego tę moją książkę nazywam powieścią o ludziach.

— Słyszałam zdanie, że „Krauzowie i inni" to powieść historyczna. Ja bym ją raczej uważała za powieść społeczną. dziwną powieść społeczną z dawnych czasów.

— I ma pani najzupełniejszą słuszność — podchwytuje Herminja Naglerowa. Na powieść historyczną za mało tu jest Wiednia, Lwowa i tych tam spraw. Zresztą to nie były czasy efetkowne dla historji, te lata po powstaniu styczniowem. Każda dzielnica Polski inaczej je przeżywała. W Galicji rozjątrzyły się wtedy niesłychanie sprawy społeczne, różne sfery i środowiska poczęły się nawzajem przenikać, każda, obejmując pewną sobie właściwą rolę. Sprawy te były najbardziej jaskrawe na terenie małych miasteczek. Wieś przyjmowała to inaczej — jak — opowie następna powieść z cyklu „Kasjery".

— Zastanawiam się tylko — mówię konstatując z przerażeniem, że rozmowa przedłuża się do rozmiarów wręcz nieprzyzwoitych — w jaki sposób mogła pani te wszystkie sprawy objąć i jakoś powieściowo ułożyć. To nie jest już tylko talent — to jest coś więcej: metoda naukowa chyba. albo taka wielka wiedza. że w pewnych dawnych zagadnieniach porusza się pani tak samo swobodnie, jak w teraźniejszości.

I nie jest to przytem sztucznem mizdrzeniem się w kierunku dawności, wywoływaniem atmosfery przy pomocy szablonowych akcesorjów i stylizowanego języka. Prawdziwość tamtych czasów wychodzi u pani sama przez się, prosto i naturalnie.

— Te wszystkie plusy, które pani wymienia wynikają prawodpodobnie z moich, ukończonych przecież studjów historycznych. Mam metodę, mam wiedzę, mam więc i swobodę ruchów. Ile mnie jednak pracy kosztowało zebranie materjałów do „Kasjer", to wiem tylko ja sama.



— Tak, szmat czasu chce pani zamknąć w ramach swojego cyklu.

— Od roku 1865 poprzez wojnę światową. Ale to nie będzie tylko szmat czasu, to będzie przedewszystkiem gromada ludzi, ludzi z różnych epok, różnych sfer, różnych poglądów i różnych ideałów. Chcę iść krok w krok za własnem życiem i w ten sposób odkryć jego ukryty sens.

Żegnam panią Herminję z myślą, że podjęła się pracy i trudnej i ważnej.

Zofja Miszewska.

Z LITERATURY WŁOSKIEJ

W lutym roku bieżącego upłynęło 100 lat od śmierci Letycji Bonaparte, „Napoleonis Mater". zmarłej na wygnaniu w czternaście lat po śmierci jej wielkiego syna. Jubileusz ten uczcił wielki uczony. Pietro Misciatelli, wydając zbiór jej listów p. t. „Lettere di Letizja Bonaparte". Zbiór ten obejmuje 268 listów, z których 113 dotąd nigdzie niepublikowanych, oraz testament i 30 ilustracyj.

Z listów tych „Madame Mère" rodu Bonapartych wyłania się jako typ „pani matki" dawnego pokroju, posiadającej wielki autorytet w rodzinie i dzierżącej ostro w garści cugle domu. którego jest ośrodkiem i najwyższą instancją. Była panią i matką w całem i pełnem znaczeniu tego słowa, temwięcej iż młodo owdowaiała i sama musiała pokierować losem ośmiorga dzieci.

Zawrotna karjera korsykańskiego porucznika nie zaślepiła macierzyńskiego serca. Letycja zachowała równowagę ducha i chociaż nie mieszała się do polityki. brała żywy udział w losach swych dzieci i wnuków. zasiadających na różnych tronach Europy.

To powodzenie nie zdołało jednak oszukać serca matki. Cierpi ono zwłaszcza spowodu ciągłych waśni pomiędzy dwoma synami: wielkim cesarzem i jego bratem, Lucjanem. To też matka nigdy nie przestaje używać swego wpływu aby ich pogodzić. Nie dowierza też szczęściu i drży. jakby w przeczuciu niechybnego upadku.

W dniach upadku jest Letycja Bonaparte tylko i wyłącznie matką: tkliwą i gotową do wszelkich poświęceń. Do tej roli zresztą jakoby się przygotowywała przez całe życie. W jednym z listów do córki pisze: „Je crois. que je ne suis née, que pour souffrir".

Wiemy. że Letycja Bonaparte towarzyszyła Napoleonowi na wygnanie na wyspie Elbie Chciała także podzielić z nim wygnanie na wyspie św. Heleny, lecz rząd angielski nie pozwolił na to, nie pozwolił nawet na bezpośrednią korespondencję matki z synem. Listy Letycji Bonaparte po r. 1815 świadczą o tem. jak bardzo się starała ulżyć doli wygnańca. Potrafiła nawet dotrzeć do trzech monarchów na kongresie w Aix la Chapelle.

Daremnie! Czara goryczy, przeznaczona dla matki i jej wielkiego syna musiała zostać wychylona do dna.

*

„Sorelle Materassi" (Siostry Materassi) powieść Aldo Palazzeschi'ego wydawnictwo Valecchi w Medjolanie — to tragiczna groteska niezaspokojonej kobiecości.

Jeszcze zanim do cichej pracowni wykwintnej bielizny damskiej wdarł się mężczyzna, siostry Materassi zgoła tego nieświadome wiodły podwójny żywot. Bogobojne i pracowite w dzień powszedni, dwie te pięćdziesięcioletnie dziewice, odprawiały w niedzielne popołudnia jakieś niesamowite obrządki kobiecej próżności i tęsknoty za mężczyzną. Śmiesznie wystrojone w niemodne suknie z czasów młodości ich matki i babki. osypawszy swe twarze pudrem. jak osypywały w kuchni mąką ryby do smażenia wdzięczyły się najpierw i krygowały przed lustrem, aby następnie zasiąść w otwartem oknie i poddać bezlitosnej krytyce ubiór i powierzchowność przechodzących kobiet, znajdując zawsze dla mężczyzn słowa podziwu i pobłażania. Wiodły nieskończone rozmowy o mężczyznach którzy rzekomo niegdyś się w nich kochali, a których one odrzuciły, wspominały jakieś zmyślone sceny uwodzenia. Ponieważ obie wiedziały, że to wszystko wykwitło tylko w ich wyobraźni. każda puszczała mimo uszu zwierzenia drugiej, wsłuchana jedynie we własne, urojone przeżycia.

Aż oto do tego „Domu Kobiet", zamieszkałego przez trzy siostry i starą służącą, istotnie wdziera się mężczyzna w postaci czternastoletniego sieroty po zmarłej czwartej siostrze. Piękny i rosły chłopak z miejsca zawładnął sercami i duszami ciotek i służącej. Uczucia zrazu macierzyńskie rychło zamieniają się w bałwochwalczą adorację tego przedstawiciela rodu męskiego. Z biegiem lat młodzieniec z całą świadomością wyzuskuje sytuację i z okrucieństwem pogromcy zwierząt tresuje „swoje małpy", jak się o nich cynicznie wyraża. Doprowadza je do ruiny materjalnej i moralnej, a nie mając im już nic do zabrania, opuszcza je.

Pozostałe zaś kobiety. bynajmniej nieuleczone, schną z tęsknoty za tą młodą męskością.

Powieść kończy się symboliczną sceną, gdy za namową starej służącej ciotki zawieszają w szwalni powiększony do naturalnej wielkości portret siostrzeńca w kostjumie kąpielowym.

Powieść „Sorelle Materassi" należy do najwybitniejszych włoskich utworów balestrycznych ostatnich lat. Narracja płynie nurtem spokojnym. szerokim. miejscami nawet po staroświecku rozlewnym. I chociaż autor, czyniąc w pierwszym rozdziale książki aluzję do Bocaccia, który rzekomo pisał swego „Dekamerona" w tej właśnie podmiejskiej okolicy Florencji, gdzie rozgrywa się akcja powieści, temsamem wzywa go niejako na jej patrona. czytelnik. obeznany z współczesną psychoanalizą, nie widzi w siostrach Materassi jędrnego rubasznego komizmu postaci z przedednia Odrodzenia. lecz raczej beznadziejny smutek zapoznanych i niewyżytych. podświadomych tęsknot kobiet z fin'de siècle'u.

Elesta.

WIADOMOŚCI RADJOWE

DOŚWIADCZENIA RADJA ANGIELSKIEGO.

Tak, tajemnica głosu ludzkiego jest dziwnie pociągająca. Bardzo pouczające doświadczenia przeprowadziło radjo angielskie przy pomocy 9 osób. Były to kobiety i mężczyźni, wybrani spośród rozmaitych klas społecznych i zawodów. Wygłosili oni przez radjo jeden i ten sam tekst, a słuchacze mieli za zadanie oznaczyć według wrażenia, jakie na nich dany głos wywarł: wiek, zawód i właściwości kierownicze danego anonimowo przemawiającego przez mikrofon osobnika.

W tym ciekawym konkursie wzięło udział około 5.000 słuchaczy. Około 4.000 sądów wzięto pod uwagę przy tem doświadczeniu Stwierdzono przy tem. iż w większości wypadków radjosłuchacze podawali wiek każdej z tych 9 osób dość dokładnie z tą jedną pomyłką, iż wiek osób poniżej lat 40 podawano jako wyższy, a starszych jako niższy. Więc np. głos jedenastoletniej dziewczynki uznało 8% z tych czterech tysięcy radjosłuchaczy za

głos dziewiętnastoleniego młodzieńca. Przyczem zaprzeczono głosowi temu, najwyższą liczbą odpowiedzi, bo 65%, właściwości kierowniczych i władczych, co zresztą zgadzało się całkowicie. Najwięcej danych na wodza, sądząc po głosie, zdradzał pewien aktor. Potem wymieniono jako takiego sędziego, wreszcie kaznodzieję. Rzecz charakterystyczna, iż pewien oficer i podoficer czynnej służby w głosie swym, według opinji słuchaczów, nie zdradzali zupełnie tych cech, tak zdawałoby się przyrodzonych żołnierzom zawodowym.

Zawód aktorski ustaliło słusznie więcej, niż połowa słuchaczy. To samo odnosi się do kaznodziei, prawdopodobnie pastora. Wogóle oznaczenia zawodu były dość ścisłe, co świadczyłoby, iż wyciska on na głosie swoje piętno.

CLEMENS KRAUSS I FRYDERYKA URSULEAC *w koncercie symfonicznym przez radjo.*

Koncert symfoniczny, który transmituje Polskie Radjo z Filharmonji Warszawskiej dnia 8 maja o godz. 20.00, należeć będzie do największych koncertów tego sezonu muzycznego. Dyrygent — Clemens Krauss, zalicza się do najwybitniejszych kapelmistrzów doby dzisiejszej i stoi obecnie na czele najlepszych orkiestr berlińskich, śpiewaczka, Fryderyka Ursuleac, jest sławną niemiecką śpiewaczką. Program koncertu obejmuje kompozycje wyłącznie niemieckie. Rozpoczyna go Brandeburski Koncert G-Dur Bacha, po nim następuje wspaniała I-sza symfonja C-Dur Beethovena, zakończy zaś poemat symfoniczny Ryszarda Straussa — „Życie bohatera". Pozatem w czasie koncertu pieśni Ryszarda Straussa wykona wyżej wspomniana śpiewaczka, F. Ursuleac.

KONCERT RADJOWY Z WIĘZIENIA W SING-SING.

Oddawna wiemy, że Ameryka jest krajem najosobliwszych pomysłów. I tak amerykańskie towarzystwo radjowe N. B. C. zorganizowało koncert ze znanego więzienia w Sing-Sing z udziałem chóru więźniów składającego się z ponad 100 osób. W przerwie nadano wzruszające słuchowisko p. t. „Skradzione skrzypki". Niewiadomo czy tytuł tego utworu został wybrany umyślnie dla delikatnego podkreślenia środowiska, z którego nadawano ten bądź co bądź osobliwy koncert.

CHÓR DANA PRZED MIKROFONEM.

Zawsze chętnie słuchany, niezastąpiony chór Dana wystąpi w koncercie radjowym o godz. 20.00 dnia 7 maja. W koncercie tym weźmie również udział Mała Orkiestra Polskiego Radja. Chór Dana przygotował na ten dzień najnowsze i najpiękniejsze piosenki ze swego repertuaru, a zatem— radjosłuchacze uwaga — słuchajcie.

WIECZÓR TOLI KORYAN

Dnia 15 kwietnia, w środę, odbył się wieczór Toli Koryan. To, co usłyszeliśmy, było rewelacją. Znamy wszyscy panią Koryan z przed 34 roku — ale to czego teraz byliśmy świadkami przeszło wszelkie oczekiwanie. Były to godziny najprawdziwszej poezji — i wielkiego czaru.

Wychodzi na estradę jasne, drobne stworzenie i wszyscy myślą: „Boże jakie to małe!" A potem Tola śpiewając mówi — mówiąc śpiewa, czar jej urzeka. Zapominamy, że są stoliki... że kawiarnia... że wieczór... oddajemy się balladom o Mordercy ciotki, o Zosi pod sosną, o Piratach i okręcie. I Tola rośnie, potężnieje, Tola staje się wielka.

Szeptem krzyczy, szept jej dociera do najbardziej głuchych i nieczułych. Niewiadomo jak to uczyniła, ale jesteśmy urzeczeni — zafascynowani, smucimy się smutnemi piosenkami, rezygnujemy jej rezygnacją, cieszymy się jej radością, boimy się jej strachem, weszliśmy w krąg jej czarów.

Najpierwsza polska diseusa, inteligentna, przeczulona, o głębokiej wszechpotężnej intuicji dała nam tego wieczoru chwile niezapomniane. Zrobiła coś więcej: stworzyła atmosferę najczystszej i najwyższej, prawdziwej, niekłamanej Sztuki. *B.*



ZE SREBRNEGO EKRANU

Nowa serja filmów polskich — pewnie już ostatnia w tym sezonie — przynosi tylko jedną pozycję dodatnią. Jest nią „Róża" (w/g Żeromskiego, real. Lejtisa). Dotychczas Żeromski nie miał wiele szczęścia do filmowców: jeżeli przeróbki filmowe jego dzieł bywały nawet niezłe jako filmy, autor jednak wychodził z nich „odbarwiony". Najczęściej jednak artystyczne wartości samego filmu nie wynagradzały krzywdy, jaką wyrządzano Żeromskiemu—pisarzowi i społecznikowi.

Inaczej — z „Różą". Tutaj pamiętano o Żeromskim, nie zaprzepaszczono piękna jego słowa ani — ideologji. To też, chociażby za ten pietyzm twórców dla najistotniejszych wartości Żeromskiego należy im się uznanie.

Ze względu na swą fragmentaryczną budowę i brak silidnego kośćca, „Róża" na ekranie też nie może imponować konstrukcją. To też nie można winić o to reżysera, który zrobił i tak wiele, ażeby poszczególne epizody powiązać i dać im filmowy wyraz. Mamy więc kilka drobnych przejść i scen inteligentnie zmontowanych (szereg zamachów rewolucyjnych, pokazanych od strony reakcji władz moskiewskich), z umiejętnem wyzyskaniem efektów dźwiękowych, nie mówiąc już o doskonałych scenach zbiorowych (wiec, tłum oczekujący przed cytadelą na „widzenie" i t. d.). Niektóre fragmenty wypadły zbyt teatralnie, ale było to nieuniknione przy takim nawale materjału słownego który trzeba było choć w części zachować.

Dużą zasługę mają w tym filmie aktorzy. Przedewszystkiem więc Zacharewicz, dość szablonowy amant w błahej komedyjce, jaką pokazano nam z początkiem sezonu — tutaj, jako Czaronic ukazał się aktorem nietylko mającym doskonałe warunki zewnętrzne, ale — utalentowanym i inteligentnym. Świetna maska, doskonała dykcja, szczerość wyrazu i wczucie się w styl odtwarzanej postaci — wszystko to pozwala spodziewać się, że Zacharewicz będzie z powodzeniem pracował dla polskiego ekranu a nietylko — dla poklasku pensjonarek. Dalsze świetne role, to już same asy: Junosza - Stępowski, niezawodny — Znicz, którego wielką skalę (od komizmu do tragizmu) zawsze podziwiamy — znakomity Jaracz. Cały szereg doskonale zagranych ról epizodycznych świadczy o ogromnych możliwościach ekranowych naszych artystów nawet o mniej sławnych nazwiskach. Natomiast Eichlerówna zawiodła: jej niski głos jest wybitnie niefonogeniczny, zwłaszcza jeżeli aparatura dźwiękowa danego kina nie jest pierwszorzędna, a i w grze czuje się niepewność w stosunku do wymagań ekranu, tak różnych od wymagań sceny. W sumie pomimo różnych drobnych zarzutów któreby można postawić realizacji „Róży" — jest to jednak film, w którym widać myśl i wysiłek twórczy, a nietylko spekulowanie na „kasę".



Scena z filmu „Róża".

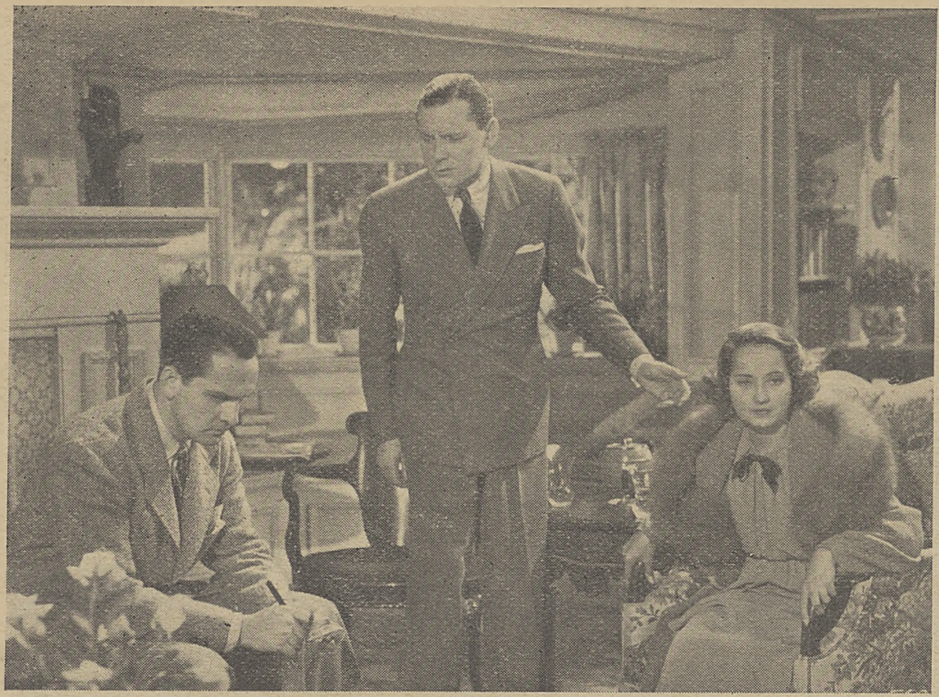
Nie można, niestety, powiedzieć tego o „Bohaterach Sybiru" (reż. Waszyński). Tu właśnie mamy chęć wywołania łatwych wzruszeń, uciekanie się do pseudo-amerykańskich „chwytów", jednak bez precyzyjności wykonania i niezawodności działania każdego efektu, jakie się właśnie widzi w filmach emerykańskich. Wprowadzenie dziecka dla nadania scenom dramatycznym większej grozy, jest jednym z takich efektów chybionych i może działać tylko na publiczność bardzo niewyrobioną. Epizody patrjotyczne też zanadto przypominają szablony przemówień z obchodów narodowych, ażeby naprawdę porywały.

A przecież temat tak się do tego nadawał!

Tworzenie się dywizji syberyjskiej z Polaków przebywających na Syberji w r. 1917, przedzieranie się garstki ludzi przez „płonący wschód", gdzie władza przechodziła ciągle z rąk „białych" do „czerwonych" i odwrotnie — do najbliższej stacji kolejowej, ażeby dostać się do większej formacji wojska polskiego.

Temat nietylko na ekranie jeszcze niewyzyskany, ale nowy, ze względu na tło (polityczne, narodowościowe, geograficzne), a nawet rodzaj akcji (zamiast stereotypowej pary — jego i jej — zbiorowość). Cóż z tego, kiedy temat ten zmarnowano. Prócz kilku dobrych scen na początku, prawie wszystko „sknocono", zwłaszcza sceny kulminacyjne (oszukanie „czerwonych" w celu zawładnięcia pociągiem, powrót do miasteczka, w którem plądrowali „czerwoni"). Nie wierzymy w to wszystko, tak jak nie wierzymy, że kilkoletnia Zosia sama weszła do towarowego wagonu. Nie wierzymy nawet w panujący rzekomo na ekranie mróz, bo szaro-brudna równina przypomina więcej podwarszawskie pola, niż śnieżne przestrzenie dalekiej Północy. Pod względem aktorskim film przedstawia się nieźle (prócz Ankwiczówny, której rola wogóle jest zbyteczna). Ale wysiłek aktorów jest daremny tam, gdzie reżyser lubuje się w jaskrawych efektach i niema żadnego poczucia artystycznego umiaru.

Filmom polskim zawsze poświęcamy więcej miejsca, choć o filmach zagranicznych tej samej klasy wspominamy tylko w paru słowach, a najczęściej nie piszemy wcale. Właśnie ta przewaga filmów polskich w ostatnich tygodniach sprawiła, że na omówienie nawet dobrych filmów zagranicznych zabrakło miejsca. To też zamiast oceny, ograniczę się dziś tylko do krótkich informacyj.



Scena z filmu „Czarny Anioł".

Olbrzymie powodzenie filmów *„Kapitan Blood"* i *„Bounty"* świadczy o odrodzeniu zamiłowania do filmów historyczno-podróżniczych. Zresztą, oba odznaczają się wybitnemi zaletami filmowemi — powodzenie jest więc zasłużone. *„Czarny anioł"* to film, w którym wszystko jest ładne, począwszy od twarzy, a skończywszy na charakterach. Świetna gra, staranna reżyserja i piękne fotografje, słowem — typowy film wytwórni „Paramount". Dla miłośników łatwego, beztroskiego śmiechu Harold Lloyd w *„Mlecznej drodze"* przygotował sporą ilość zabawnych kawałów. Paniom będzie raczej odpowiadała miła komedyjka *„Wesołe szaleństwo"*, w której temat nienowy (urzędniczka wygrywająca na loterji i książę udający... boy'a hotelowego) został pomysłowo odświeżony. Dobra gra i tempo akcji rekomendują film jako miłą rozrywkę, jednak bez głębszych wartości.

es-ha.

LEN I MODA

Oddział Warszawski Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej Kobiet urządził w przemiłej i tak popularnej Kawiarni SiM pokaz strojów p. t. „Ubieramy się w samodział".

Stroje projektowały artystki - malarki,a wykonała pracownia „Inicjatywa" z samodziałów dostarczonych przez „Len Wileński".

Propaganda regjonalnego przemysłu lniarskiego, tego samodziału, tak wysoce cenionego zagranicą (w Anglji homespuny, a we Francji tissus Rodier) przybiera u nas coraz szersze kręgi. I dziś już nikogo nie potrzeba przekonywać o znaczeniu tej propagandy ze względów ekonomicznych. Wszyscy o tem wiedzą. Chętnie zdobią wnętrza w tkaniny lniane, zaopatrują się w lnianą bieliznę stołową i gospodarską.

Bardzo też chętnie ubierają się w płótna lniane. Ale modele na ten cel wybierane nie zawsze odpowiadają swemu celowi. Mówi się potem, że suknia lub palto źle wypadły, bo zrobione były z ręcznego samodziału. I, że oczywiście, materjał fabryczny nie sprawiłby takiego zawodu.

Jest w tem o tyle racji, że len istotnie wymaga znajomości materjału. Nie nadaje się na żadne zawrotne klosze, wymarszczania, ani nie znosi nadmiaru fałd. Jego dominującą cechą jest prostota. I dlatego wszystko co idzie po tej linji, daje wysoce dodatnie rezutlaty.

Jak należy pracować w lnianych samodziałach pokazano właśnie jeszcze raz w Simie. Artystki-malarki i absolwentki szkół zawodowych zjednoczyły swe siły, żeby modele skomponowane wypadły jaknajlepiej. Samodziały zastosowano do najrozmaitszych dziedzin życia. Oczywiście, nie wszystkie wypadły jednokowo dobrze i nie wszystkie przystosowano do ustalonej już i niejako standaryzowanej formy. Za dużo może było w niektórych modelach „golizny", co zupełnie wyraźnie podkreślali bardzo licznie zgromadzeni panowie. Tak licznie, że aż dziwnem się to mogło wydawać na rewji mody kobiecej. I te ich „vox" trochę mąciły zaciekawienie modelami i formalny entuzjazm dla niektórych.

Najpierw szły kostjumy do gier sportowych, składające się z płóciennego kostjumu (à la kąpielowy) z poszerzanemi majteczkami, wykonane z pięknych, kolorowych płócien. Głowy przyozdobione były opaskami w tych samych kolorach. Na te spodeńki zarzucone były króciutkie kloszowe spódniczki, rozcinane z boku i zdejmowane jednym rzutem ręki, uszyte z lnu w kolorze naturalnym. Wszystkie projektowane przez p. Łomnicką-Bujakową.

Potem pokazano stroje plażowe. Shorts'y, suknie i płaszcze, gdzie zastosowano również połączenie paru kolorów płócien, stwarzając w ten sposób bardzo efektowne zestawienie. Modele p. Haliny Karpińskiej, Stieber-Obrębskiej i Łomnickiej-Bujakowej prezentowały (jak i wszystkie zresztą) panie z towarzystwa i znane sportsmanki. W tej serji najładniejszy był komplet, składający się z żółtej, obcisłej bluzeczki, krótkich szerokich spodenek w kolorze naturalnym i długiej „zawijanej" spódnicy koszulowej, związywanej w pasie na szeroką lnianą szarfę. Spódnica zdjęta i włożona na ramiona stanowiła pelerynę.

Suknie domowe były może zbyt „ciężkie", a ogrodowa miała za dużo „poezji", a za mało praktycznej prostoty.

Natomiast wspaniały był komplet do turystyki górskiej, składający się z krótkich spodni, koszuli i męskiej kamizelki. Ten model, jedyny projekt mężczyzny, p. Skolimowskiego, zaprezentowany był z prawdziwym wdziękiem przez żonę artysty.

Równorzędny co do kompozycji i wykorzystania materjału był kostjum do golfa ze wspaniałemi spodniami w kratę, projektowany przez p. Łomnicką-Bujakową.

Niektóre z sukien tenisowych wykonano z płótna w kolorze naturalnym i tak mocno dekoltowane, jak suknie „słoneczne"... Do jednej przydzielony był żakiecik ze stonowanego bronzowego płótna. Druga,

mało wydekoltowana, miała ładną linję spódniczki i śliczną żółtą pelerynkę — projekt Stieber-Obrębskiej.

Nie zapomniano o yachtingu, który otrzymał model, składający się z granatowej bluzki i szerokich spodni „naturalnych" z granatowym lampasem. Granatowy żakiet, pięknie stębnowany, miał może charakter cokolwiek za „lądowy", tem nie mniej całość projektu, p. Stieber-Obrębskiej, zjednała sobie ogólny poklask.

Na spacer ta sama artystka skomponowała kostjum w kolorze naturalnym, który przybrany był w ciekawy sposób lampasami bronzowemi.

Wszystkie modele uzupełniały akcesorja lniane, jak: torby, parasolki, kapelusze i pantofle. Niektóre modele miały przybranie tchnące dalekim, prymitywnym, a tak nęcącym egzotyzmem.

Natomiast kostjum podróżny, prezentowany przez p. ministrową Halinę Matuszewską, miał wszelkie cechy wytwornego, międzynarodowego stroju, na który użyto wspaniałych samodziałów lnianych i wełnianych. A więc żółta bluzka z płótna. kostjum angielski brunatnawy z wełny i długi trzyćwierciowy płaszcz lniany z kapturem z bardzo grubego żółto-brudnego płótna. Projekt Łomnickiej-Bujakowej.

Pani Matuszewska nosiła jeszcze komplet do auta z płótna białego w czarno-czerwoną kratę, przyczem płaszcz miał kaptur z takiej samej kraty, a całość, projektowana przez p. Halinę Karpińską, należała do jednej z najpiękniejszych.

Polem, słońcem i latem tchnęła toaleta na garden-party, noszona również z nieporównanym wdziękiem przez p. Matuszewską. Długa suknia o rękawach szerokich i długich, przybrana karczkiem i szerokim pasem z polnych kwiatów i kłosów, zakończone szarfą z żółtego płótna miała styl piastowskej lub słowiańskiej prymitywnej szaty. I tylko duża „pasterka" z tego samego płótna i tak samo przybrana była wskazówką, że właśnie tak może się ubrać współczesna a wytworna pani. Ten prześliczny projekt pp. Karpińskiej i Łomnickiej wywołał nietylko brawa ale i... „bisy!"

Pokaz przekonał niejedną z opornych pań, że lniane samodziały nadają się na różnego rodzaju stroje. Chodzi tylko o to, żeby zestawiać umiejętnie kolory, szyć materjał starannie i nie szpecić go mereżkami lub haftami, które mu zupełnie nie są potrzebne „do urody". Sam sobie wystarcza.

A że się trochę gniecie, no, to trzeba go moczyć, maglować, jeszcze maglować i prasować.

Mar. Dobr.

Nasza skóra i jej potrzeby

Daleka już dzisiaj od naiwnych swoich początków i staroświeckiego empiryzmu, kosmetyka współczesna staje się nieomal z dniem każdym z jednej strony coraz bardziej złożoną umiejętnością, z drugiej olbrzymią już gałęzią rozrastającego się w zawrotnem tempie przemysłu, świadomego swoich celów i środków. Droga ustawicznego doskonalenia się w tych dziedzinach z konieczności prowadzi przez wiedzę ścisłą zapewniając kosmetyce coraz solidniejszy fundament naukowy.

Nietylko producent preparatów kosmetycznych, nietylko ich sprzedawca, ale i każda kobieta, indywidualnie zainteresowana w ich użytkowaniu, winna się choć jako tako orjentować w wymaganiach, które im stawiać należy, by nie iść całkiem pomacku, by się nie zagubić w tym lesie oszałamiającej rekiamy zwłaszcza produktów masowych, obiecujących dziwne rzeczy „za bezcen".

Aby wiedzieć, czego skórze naszej potrzeba, musimy przedewszystkiem spojrzeć na to, czem ona jest, i jakie czynniki składają się na jej funkcje fizjologiczne. Ktoby się np. spodziewał, że co do swej wagi, czysto fizycznej, nie metaforycznej, zajmuje ona pierwsze miejsce wśród organów naszego ciała, przy powierzchni ogólnej około półtora metra kwadr. Grubość jej wynosi od 1 milimetra do 3½, jak to ma miejsce na dłoniach i podeszwach.

Zawiera ona w sobie miljony malutkich gruczołów i drobnych naczyń krwionośnych. W zbudowanym z wielu miljonów komórek wycinku skóry o powierzchni jednego ctm. znajdujemy przeciętnie: 15 gruczołów łojowych, naczynia krwionośne ogólnej długości 1 metra, 4 metry nerwów, 100 gruczołów potowych i tysiące nerwowych ciałek dotykowych.

Skóra składa się z dwóch warstw zasadniczych: głębiej leżącej skóry właściwej, t. zw. dermy i z warstwy górnej, naskórka, którego powierzchnia układa się w linje lekko faliste. Naskórek składa się ze zwartych z sobą komórek, rogowaciejących, wzgląd nie całkiem zrogowaciałych wmiarę zbliżenia do jego powierzchni. Twardniejąc nabiera ona skłonności do kruszenia się w drobne przeświecające łuseczki, które możemy łatwo uwidocznić, silnie przeciągając ręką po skórze. Naskórek wciąż się odnawia, zastępując komórkami żywemi z warstw głębszych odpadłe zrogowaciałe, co jest przejawem żywotności ustroju i funkcji odżywiania.

Jakkolwiek ta powłoka naogół chroni od przenikania do organizmu substancyj zzewnątrz, to jednak poglądu niektórych specjalistów, którzy twierdzą, że przenikanie w naskórek produktów aktywnych nie jest rzeczą możliwą bynajmniej, niemożna uznać za bezsporny.

W istocie, żywe komórki mają w sobie dużo zawartości płynnej, pozostającej w ciągłym kontakcie z krwionośnemi naczyniami włoskowatemi. Płynna ta zawartość jest w mniejszym lub większym stopniu nasycona solami rozpuszczalnemi, a przez ścianki komórek, z jednej strony przesącza się ona nazewnątrz, z drugiej zaś wchłania płynne substancje ze swego sąsiedztwa. Pozatem przetoki gruczołów skóry, jak gruczoły potowe, stanowią również drogi przenikania, niedość wyzyskane dotąd.

Różnego rodzaju płyny, jak to stwierdziły badania naukowe, przenikają w skórę i mogą wnosić z sobą bądź pewne ciałka chemiczne, bądź fizjologiczne, co ma specjalne znaczenie dla współczesnej kosmetyki, usiłującej posługiwać się dzisiaj w swych sekretach piękności hormonami i witaminami.

W głębszej warstwie naskórka spotykamy, prócz naczyń krwionośnych, zakończenia nerwów czuciowych w postaci t. zw. ciałek Meissnera.

Skóra właściwa t. zw. derma, znacznie grubsza od naskórka, przedstawia się jako sieć włókien, w której tkwią: gruczoły potowe, gruczoły łojowe, którym z kosmetycznego punktu widzenia przypada bardzo ważna rola w zakresie właściwości i defektów skóry, włosy z ich cebulkami, wreszcie rozgałęzienia nerwów i naczyń.

Wyrastające ze skóry, ukośnie do jej powierzchni, włosy, są to, podobnie paznokciom, twory rogowate. Wyjąwszy dłonie i podeszwy, spotyka się je mniej więcej na całej powierzchni skóry, przy nader szerokiej skali ich skupienia i grubości.

Gruczoły potowe mają wygląd w kłębuszek zwiniętej, cieniutkiej rurki, zlekka skręcony ich przewód wyprowadza ich wydzielinę, czyli pot na powierzchnię skóry, w której są one gęsto rozsiane, po parę na każdym kwadratowym jej milimetrze; gęstość ta jest największa na dłoniach, podeszwach, czole, które jak wiadomo, najbardziej się pocą.

Mniej liczne, a w funkcji swej odmienne, są gruczoły łojowe skóry; przylegają one do korzenia włosa, a łojowatą swą wydzielinę wyprowadzają do jego pochewki.

Najdrobniejsze rozgałęzienia nerwów czuciowych skóry kończą się pod

naskórkiem bądź swobodnie, bądź wrzecionowatemi zgrubieniami, znanemi pod nazwą ciałek Paciniego, Ruffiniego, Meissnera; obfite to unerwienie zapewnia skórze wysoki stopień wrażliwości bólowej i dotykowej. Na pograniczu naskórka i skóry spotykamy splątaną sieć najdrobniejszych naczyń krwionośnych, t. zw. włoskowatych, które, stanowią przejście od naczyń tętniczych, niosących krew, w płucach utlenioną, do naczyń żylnych, które niosą w odwrotnym kierunku krew zużytą; zbiegają się one w głębszej warstwie skóry już w gałązeczki tętnic i żył. Ten żywy i nieustanny prąd krwi z jednej strony odżywia tkanki, z drugiej zabiera z sobą powstające przy przemianie materji produkty rozpadu, celem wydalenia ich z organizmu. W ten sam sposób może on zagarniać również i substancje płynne z powierzchni skóry, o ile, drogą osmozy, przeniknęły one do wnętrza komórek przez ich ścianki.

Jednem z zadań gruczołów potowych jest wyprowadzenie z ustroju pewnych niepotrzebnie obarczających go, rozpuszczalnych, jak również gazowych produktów amoniakalnych; istota tych wydzielin ulega wahaniom, zależnie od odchyleń od normy fizjologicznej w stanie zdrowia poszczególnych jednostek, co może być stwierdzone objektywnie przez badanie wydzieliny. Pot, który, wysychając, traci zawartą w nim wodę, pozostawia czasem na powierzchni naskórka prawdziwe złoża różnych soli. Prawidłowa czynność wydzielnicza skóry, jest sprawą ważną, odciąża ona nerki w ich pracy eliminacyjnej i wspiera antytoksyczną funkcję wątroby.

Gruczoły łojowe wyprowadzają na powierzchnię skóry wydzielinę tłuszczową. Wchodzące w skład jej substancje, o dość wysokim ciężarze gatunkowym, pokrewne są raczej woskowi, niż tłuszczom. Zmydlają się one łatwo i mają charakter kwasowy.

(Dn.) *Magdalena Poznańska.*

DESZCZ

Majowe deszcze! Ileż w nich ukrytej radosnej siły, pulsującej zapowiedzią rozkwitu.

Wolne od piętna melancholji, obce wrogiemu określeniu „szaruga", majowe deszcze wywołują nas ze ścian bezpiecznych schronów, budzą podświadomą żądzę poddania ich ciepłej pieszczocie twarzy, rąk, całego ciała.

Majowy deszcz! Rozkosz dla tych co nie znają jeszcze obawy o zniszczenie ubrania, trwałość misternej ondu-







lacji, czy maquillage'u. Raduje i podnieca wszystko co młode, co rwie się do życia, co kieruje się nie opanowaną rozwagą, a zdrowym, podświadomym instynktem współżycia z naturą.

Ręka, która zamyka przed dzieckiem drzwi prowadzące na swobodę — na deszcz majowy — nie zdoła zapłacić za ten „gwałt" najkosztowniejszemi cackami.

W przezroczystej, niezmąconej jeszcze ludzkiemi stopami, majowej kałuży, kryją się stokrotnie bardziej podniecające tajemnice, niż w treści bajek z tysiąca i jednej nocy, czytanych dziecku w czterech ścianach zacisznego pokoju.

W ciepłej pieszczocie majowego deszczu zdaje się być skoncentrowana czułość i siła miłosnych pocałunków budzącej się do życia natury...

„RYNEK NA ZIELONO"

Najpiękniejsza, jasna, wiosenna zieloność wszechwładnie zapanowała na stołecznych rynkach.

Szczaw i szpinak, sałata i koperek, pietruszka i szczypiorek, na tem tle amarantowo białe rzodkiewki, rdzawo-zielone pędy rabarbaru — w pierwszorzędnych firmach pierwsze kremowe szparagi, długie, ciemnoszmaragdowe, wężowe ogórki i jako najoryginalniejsza ozdoba pomarszczone, aksamitne we wszelkich odcieniach bronzowego, pierwsze, wiosenne grzybki — smardze.

Jest w czem wybierać, jest czem urozmaicać wiosenne jadłospisy, jest czem zwalczać pozimowe zmęczenie, apatję, ociężałość podobno wywoływaną brakiem witamin w naszem zimowem pożywieniu — awitaminozą.

Oczywiście nie każda z tych nowalijek jest wszystkim dostępna. Ale musimy ostatecznie zrezygnować z kupna inspektowych lub zagranicznych szparagów i „wężowych" ogórków, lada tydzień i jedne i drugie zjawią się w takiej obfitości, że ceny na nie spadną. Natomiast na wszystkie inne możemy sobie pozwolić.

Całą zimę mieliśmy wprawdzie świeży szpinak i w każdej śpiżarni znajduje się puszka, słoik lub butelka marynowanego szczawiu, jednak te wiosenne listki mają zupełnie inny smak i kolor, szczególnie jeżeli przyrządzając jedne lub drugie, głównie szczaw, włożyć do wazy niedużą ilość surowych, drobno usiekanych listków.

Dla amatorów szczypiorku widzimy całe kosze tej smacznej lecz nazbyt aromatycznej przyprawy. Można się nią obecnie raczyć dowoli, jednak nie w czasie tańca, ani bridge'a.

Rabarbar trwa wprawdzie do późnej jesieni, lecz nigdy potem nie będzie tak delikatny w smaku jak wczesną wiosną. Może on doskonale rywalizować z jabłkami, które w tym roku wyjątkowo długo dały się przechować. Mamy jeszcze dotąd niedrogie, twarde wprawdzie lecz bardzo smaczne grochówki, zdatne na kompot i zupełnie niezłe do jedzenia na surowo.

Nadzieje producentów, że sałata i rzodkiewki wzrosną w cenie nietylko na same święta i na czas jakiś i po świętach zawiodły ich zupełnie. I sałata i rzodkiewki są niedrogie, dostępne każdemu, kto dba o racjonalne odżywianie.

Przechodząc do innych wiosennych nowalij, mamy już i raki. Oczywiście, po długiej przerwie zimowej, są one bardzo poszukiwane, ale również oczywiście bardzo drogie — gdyż woda w strumieniach jest zimna i łowienie raków, latem stanowiące poniekąd rozrywkę, połączone nietylko z przykrością lecz nawet z niebezpieczeństwem dla zdrowia. Zresztą, zdaniem mojem, rak wiosenny, po śnie i głodówce zimowej nie jest bardzo smaczny. Dopiero od połowy maja powoli nabiera smaku i najlepszy jest nie w tym maju, w którym go w tak olbrzymich ilościach konsumują smakosze, ale właśnie w lipcu, kiedy już wylnieje (zmieni skórkę).

W dużych sklepach spożywczych widzimy dużo małych kurczątek. Takie małe kurczątko smażone po wiedeńsku to przysmak nielada, — lecz i nie dla każdego dostępny. Takie wychuchane w wylęgarni maleństwa nie są na kieszeń przeciętnego śmiertelnika. Zostawmy je więc miljonerom (podobno są i tacy w Polsce), a sami zaczekajmy czerwca, kiedy będzie ich dużo i w cenie dostępnej dla wypompompowanego kryzysem obywatela.

Refleksje o ludziach tak bogatych, że mogą sobie na każdy luksus gastronomiczny pozwolić, nasuwają się przy oglądaniu wystaw sklepowych wielkich firm gastronomicznych. Owoce nietylko południowo - francuskie, palestyńskie i hiszpańskie (Włochy nie wchodzą obecnie w rachubę), lecz i afrykańskie przysmaki, nie mające nawet polskiej, ustalonej nazwy. Ze znanych owoców widzimy już koszyki truskawek też chyba jeszcze z afrykańskich kolonij francuskich.

Przed paru laty zupełnie nie znane grapefrut'y (czemu się nie przyjmie łagodniejsza, francuska nazwa „pamplemousse"?) weszły w codzienne użycie najszerszych warstw spożywców i trzeba im przyznać, że pomimo nie do wszystkich gustów przypadającej goryczki, są nadzwyczaj orzeźwiające.

Opowiadają całe legendy o niezwykłej taniości pomarańcz hiszpańskich w Gdyni, gdzie rzekomo setki skrzyń ich psuje się w składach, nie znajdując nabywców — na warszawskie ceny dotąd to wpływu niema, zresztą tanim pomarańczom hiszpańskim ogromną konkurencję robią nieco droższe lecz i znacznie smaczniejsze palestyńskie.

Ogromnie podrożały wszelkie ryby słodkowodne: karpie, szczupaki, a głównie sandacze. Przyczyn tych skoków wzwyż trudno zgadnąć, — przecież to nie post, dlatego popytu na ryby być nie powinno. Z ryb morskich pojawiły się, zawsze mile witane, flondry, duże ilości, zawsze nadmiernie drogich węgorzy, no i jeszcze mamy dorsze mrożone. Do tej ryby przez długie lata gospodynie warszawskie miały jakieś uprzedzenie. Obecnie mają duży zbyt i coraz to w przepisach spotykamy nowe sposoby ich przyrządzania.

Zresztą teraz, kiedy już mamy młode jarzyny, a coraz ich więcej przybywać będzie, kiedy jaja są zabezcen, a lada dzień bydło wyjdzie na paszę i mleko i wszelkie z niego przetwory staną się coraz smaczniejsze, ryby będą zupełnie zbędne i może odrazu spuszczą z tonu i ceny.

Coraz piękniejsze mamy pieczarki. Doniedawna warszawska pieczarka miała długą, patykowatą nóżkę, chropawą, brunatną przedwcześnie od dołu obdartą czapeczkę i nawet po kilkakrotnem płókaniu, gdzieś w tajnikach brunatno - liljowych płatków przechowywała pewien zapas piachu, mający widocznie ludziom, jak kurom, ułatwiać trawienie.

Obecnych białych, zwartych, jędrnych pieczarek warszawskich nie powstydziłby się rynek paryski. Tylko jeszcze mała zniżka ceny co przy większej produkcji samo przez się przyjdzie i będziemy mogli te smakowite grzybki codziennie spożywać — jak właśnie paryżanie. Tymczasem kontentujemy się sparzonemi dwukrotnie, a następnie smakowicie uduszonemi w śmietanie smardzami.

Pani Elżbieta.

Jak Cię widzą....

NASZE OBUWIE

Dobry i elegancki wygląd obuwia zależy w znacznej mierze od umiejętnego chodzenia (precz z wykrzywianiem!). Ale to jest pierwsza strona medalu. Druga — to umiejętna pielęgnacja.

Bo trzeba sobie zgóry zdać sprawę z tego, że tylko to obuwie wygląda dobrze, które się czyści własnoręcznie. Żadna, najbardziej wykwalifikowana służąca nie zada sobie tyle trudu, ile wymaga dokładna pielęgnacja obuwia.

Przedewszystkiem jako zasadę należy przyjąć to, żeby każda para obuwia stała na prawidłach. które zapobiegają wychodzeniu z fasonu. O ile nie posiada się dostatecznej ilości prawideł, to można je zastąpić „wypychadłami" z papieru, złożonego wielokrotnie w kształt przyszwy.

Następnie nigdy nie powinno się chować obuwia wilgotnego, zabłoconego, zakurzonego i przepoconego. Należy je najpierw osuszyć, wywietrzyć, a dopiero potem chować.

Do czyszczenia trzeba się zaopatrzyć w czyste, miękkie gałganki i szczoteczki, a także i w pasty w odpowiednich kolorach. Każda bowiem para obuwia wymaga odpowiedniej pasty.

Obuwie *gemzowe* i *chromowe* czyści się pastami w dobranym kolorze. Po nasmarowaniu poleruje się kilkakrotnie, aż do otrzymania połysku.

Obuwie z *boksy* zmywa się wodą z mydłem, gałgankiem maczanym w tym rozczynie. Potem się poleruje.

O sposobie czyszczenia skór *fantazyjnych* najlepiej poinformować się przy kupnie obuwia. Gdyż czyszczenie benzyną bywa zbyt ryzykowne.

Grube obuwie *sportowe*, które ma się uodpornić na wilgoć, nasyca się specjalnemi płynami, które są do nabycia w sklepach sportowych. Bardzo to ważne w okresie wzmożonego ruchu turystycznego i sportów.

Przy pielęgnowaniu obuwia należy pamiętać, że powinno być czyszczone od ręki, a nie pozostawione z kurzem lub błotem przez szereg dni.

Obuwie *reniferowe* oczyścić trzeba najpierw miękką szczoteczką z kurzu i błota. Najlepiej używać szczoteczki gumowej, która nie niszczy powierzchni skóry. Przy pewnym znacznym stopniu zniszczenia trzeba używać kamienia w kolorze skóry, który skórę odświeża. Po natarciu kamieniem skórę wyciera się gałgankiem lub gumową szczoteczką.

Obuwie czarne reniferowe, z antylopy lub zamszu odczyszcza się w ten sam sposób, wycierając na końcu miękkim, czarnym gałgankiem.

Należy również mieć na nie przeznaczoną specjalną szufladę, półkę lub szereg pudełek, które zabezpieczają od zabrudzenia każdą oczyszczoną parę, ustawioną na prawidłach.

Igła.

Bzy kwitną — bzy okwitają



Kiedy przyjdzie na nie czas — wiosenny czas kwitnienia, wychylają ku nam swoje wonne kiście z poza wiejskich opłotków, pachną upojnie w rozłożystych wiejskich ogrodach, w miejskich parkach, w maleńkich, otaczających domki i wille ogródkach, na cichych cmentarzach.

Oczekiwane z drżeniem niecierpliwości po okwitnieniu idą w zapomnienie. Najpiękniejszy z wiosennych okresów, okres bzów kwitnących, pozostawia po sobie mało dekoracyjne krzewy o rosochatych, zwichrzonych gałęziach, przetrzebionych, połamanych zaborczemi ludzkiemi rękami co wydzierały krzewom macierzystym ich cudne kwiaty.

Bzy kwitną, bzy okwitają. Na pospolitych niekształtnych krzewach, na arystokratycznych sztamach sterczą jeszcze gdzieniegdzie okwitłe kiście, przekształcając się z dnia na dzień w nasienie.

Zapobiegliwy miłośnik i hodowca wie o tem, że bzom, które mają kwitnąć, z roku na rok dorodnie i obficie nie wolno przekształcać się w nasienniki. Pokarm zużywany na wykształcenie nasienia wyczerpuje siłę kwitnienia przyszłego sezonu. To też

kto oszczędził bzowe kiście w rozkwicie, kto umiał ustrzec je przed zaborczą dłonią szkodników, łamiących nielitościwie okryte kwieciem gałęzie, ten musi uzbroić się w ostry sekator (nożyce ogrodowe) i pościnać starannie wszystkie okwitłe kiście, zanim zaczną wytwarzać nasienie.

Nie skończy na tem. Będzie dbał o tępienie chwastów pokrywających ziemię dokoła bzowych krzewów i sztamów, wytępi wilki strzelające z pnia, a jesienią przekopie dokoła bzów ziemię, użyźni ją kompostem i wtedy dopiero spokojnie i radośnie czekać będzie przyszłego kwietnego plonu, pewien jego bogactwa i przepychu. *Ir-a.*

Niema kobiet z siwemi włosami.

Siwizna, która przy młodej cerze i młodej sylwetce może wydać się interesującą, u kobiety starszej jest dowodem jej wieku, do którego niechętnie się przyznaje.

Dlatego też trudno się nieraz wyrzec zabiegu farbowania włosów. Z jednej strony odgrywa tu rolę próżność, bo siwizna postarza, nadając twarzy zmęczony i smutny wyraz, gasząc radość malującą się w spojrzeniu, którą promieniuje młodość. Siwizna odbiera kobiecie światowej pewność siebie, a kobietom pracującym wytrąca najważniejszy atut z ręki, jakim jest trwałość pracy...

Przykre to, niestety, ale prawdziwe i dlatego, chcąc uniknąć tylu niepowodzeń w życiu trzeba sięgnąć po inną broń, którą będzie — sztuka.

Estetyczne i niewidzialne przyciemnienie włosów ulepszonym, roślinnym SZAMPONEM HENNA „ISTE" Stempniewicza we wszystkich odcieniach, zależnie od barwy włosów, gwarantuje przedłużenie okresu młodości i wpływa na dobre samopoczucie wielu kobiet.

Prawdziwy tylko ze znakiem ochronnym „ISTE". Cena 1,50 zł. do nabycia we wszystkich drogerjach i aptekach.

BALKONY

2.

Pora obsadzania skrzynek roślinami kwitnącemi przypada na połowę maja. Bo św. Zofja zwalnia nas dopiero z obawy przed ostrzejszemi przymrozkami, któremi tak nieustępliwie grożą św. ogrodnicy — Serwacy i Bonifacy, przypadający w dniach 12 i 14 maja. Dlatego też z przenoszeniem do gruntu delikatnych sadzonek inspektowych i roślin doniczkowych nie należy śpieszyć się zbytnio, tem więcej, że pod wpływem coraz cieplejszego słońca wiosennego wegetują ze wzmożoną szybkością i doganiają niespostrzeżenie zwłokę podyktowaną nam względami ostrożności.

Czem obsadzimy skrzynki balkonowe i okienne?

Na pierwszy plan wysuwają się tutaj zawsze i niezmiennie pelargońje i petuńje, jako najobficiej kwitnące, a zatem i najbardziej dekoracyjne.

Skrzynki umieszczone w miejscach zacienionych, do których nie dochodzi ostra operacja słońca, są jakoby przeznaczone dla ułanek, a balkony wyposażone w przejściowy, krótkotrwały dopływ słońca będą idealnem stanowiskiem dla roślin doniczkowych, wynoszonych na otwarte powietrze z pokojów mieszkalnych.

Dekorując okna i balkony musimy starać się wydobyć możliwie najpiękniejszy efekt optyczny. A więc bogactwo roślin, ich barwność, harmonijny dobór, który polega na umiejętnem zestawieniu barw zarówno kwiatów, jak i liści.

Żywe w barwie, wysoce dekoracyjne i estetyczne jest zestawienie pelargonij z lobelią (stroiczka), którą stosujemy, jako obwódkę, dając w pierwszej linji. przed koralowemi, albo ceglastemi pelargońjami.

Połączenie białych, albo blado-różowych zawieratek (petunia) z lobelią daje również ciekawe i ładne efekty, jednakże tylko wtedy jeżeli sadzimy zawieratki karłowe o zwięzłych, niskich krzakach i licznych drobnych kielichach kwietnych. Zawieratki karłowe rozkrzewiają się normalnie, nie wykazując tak daleko posuniętej zdolności wytwarzania długich, zwisających pędów, jak zawieratki wielkokwiatowe, które wkrótce po posadzeniu wypełniają sobą całe skrzynki, nie pozostawiając miejsca innym roślinom posadzonym w tej samej skrzyni.

Do cennych roślin dekoracyjnych należy też zaliczyć begońje zarówno bulwiaste, jak i tak zwane „ciągle kwitnące", o drobnych, obfitych kwiatach i pięknie barwionych liściach.

Begonje bulwiaste, odznaczające się kapryśnemi wymaganiami przy hodowli doniczkowej są wdzięczne w hodowli gruntowej. Byle im dostarczyć odpowiedniej ziemi znoszą doskonale nawet kapryśną pogodę i kwitną pięknie do późnej jesieni. Odmiana zwana „begońja ciągle kwitnąca", przeniesiona do skrzynek jako niewielka, nikła jeszcze sadzonka, rozrasta się szybko, kwitnie obficie, a strojna jest nietylko dzięki mnóstwu drobnych, czerwonych, różowych, lub białych kwiatków, ale i dzięki liściom ciemnoszkarłatnym u niektorych odmian.

Begońja ciągle kwitnąca, zasilana płynną solą chorzowską, dochodzi do imponujących rozmiarów i staje się jedną z najbardziej dekoracyjnych roślin balkonowych.

Z pnączy sezonowych polecam uwadze w pierwszym rzędzie Sępotę pnącą rozrastającą się bardzo szybko i kwitnącą od końca czerwca, lub pierwszych dni lipca, aż do mrozów. Kwiaty Sępoty pnącej to dekoracyjne, blado-lila kielichy, które wydają równie dekoracyjne purpurowe owoce.

Sępota lubi wystawę słoneczną i obfite zasilanie. Wysadzamy ją z doniczek w połowie maja, dając natychmiast podpórki, dokoła których owija się sama. Sępotę prowadzi się po kratkach drewnianych, drutach, albo sznurkach przeciągniętych wzdłuż i wszerz. Wyrasta do kilku metrów wysokości spowijając ściany, balustrady balkonów, tworząc śliczne, zacienione altanki. *Joanna.*

Dobre rady

Szczotki ryżowe łatwo uodpornić przed szybkiem zniszczeniem, zwilżając nową szczotkę (zanim ją zaczniemy używać) roztworem przygotowanym na podstawie 10 gramów ałunu rozpuszczonego w 1 litrze zimnej wody. Po dokładnem zwilżeniu wysuszyć.



Raz na tydzień umyć szczotki, używane do czyszczenia dywanów, w letnim roztworze rozgotowanego mydła. Płókać kilkakrotnie w czystej wodzie.

Jadłospis tygodniowy

NIEDZIELA

Rosół z kury z kluskami parzonemi (przepis w b. zeszycie).
Jaja djabelskie z jarzynkami (przepis w b. zeszycie).
Kura po włosku z ryżem (tak, jak "Kurczęta po włosku z ryżem" — przepis w b. zeszycie).
Suflet pomarańczowy (patrz Nr. 5 Tyg. Kobiety).

PONIEDZIAŁEK

Barszcz czysty z uszkami.
Kotlety pożarskie z cielęciny z młodemi jarzynkami (przepis w b. zeszycie).
Sałata zielona.
Kisiel z soku owocowego.

WTOREK

Zupa neapolitańska z makaronem.
Befsztyki wołowe, siekane — kaszka krakowska na sypko z koperkiem.
Sałata zielona.
Kompot z rabarbarum — kruche ciasteczka.

ŚRODA

Zupa szczawiowa — jaja faszerowane.
Bitki wieprzowe w sosie pomidorowym — makaron włoski.
Sałata zielona.
Legumina z mąki kartoflanej z sokiem (przepis w Nr. 8 Tyg. Kobiety).

CZWARTEK.

Buljon z liśćmi szczawiowemi.
Sałata z jarzyn garnirowana jajami na twardo (surówka).
Makaron z szynką wypiekany w rondlu.
Pianka owocowa (przepis w Nr. 10—11 Tyg. Kobiety).

PIĄTEK

Zupa rybna z łazankami.
Sandacz z siekanemi jajami — kartofelki z wody.
Sałata zielona.
Bucht drożdżowy z konfiturami (przepis w Nr. 1 — 2 Tyg. Kobiety).

SOBOTA

Kartoflanka czysta z grzankami.
Zraziki po nelesońsku.
Sałata zielona.
Omlet ze szpinakiem.

PRZEPISY KULINARNE

DODATKI DO ZUP

Uszka do barszczu. Zagnieść niezbyt twarde ciasto, biorąc na dwie szklanki mąki jedno całe jajko, łyżeczkę masła, i tyle wody, aby ciasto było odpowiedniej konsystencji. Wsypać odrobinę soli. Doskonale wyrobione ciasto nakryć wygrzaną miseczką i pozostawić tak godzinę.

Pozostałe mięso z pieczeni, albo gotowane, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę, dodając trochę bułki rozmoczonej w mleku i doskonale odciśniętej. Zasmażyć na maśle drobniutko usiekaną cebulę, włożyć mięso mielone, wymieszać. Doprawić do smaku solą i pieprzem, wbić całe jajko, wyrobić.

Rozwałkować ciasto bardzo cienko, krajać na paski równej szerokości (najlepiej podług przeciętego równo papierka), paski te dzielić na kwadraciki. Pośrodku każdego kwadracika położyć odrobinę farszu. Zlepiać pierożki w formie trójkątnej chusteczki, a po zlepieniu łączyć razem dwa przeciwległe brzegi, formując w ten sposób rodzaj uszka.

Na chwilę przed wydaniem barszczu ugotować uszka na osolonym wrzątku. Wybrać z wody łyżką durszlakową, osączyć, włożyć do wazy i natychmiast zalać wrzącym barszczem. Trzeba to robić w ostatniej chwili, inaczej uszka w zupie rozmiękną.

Do postnego barszczu robi się takie same uszka z farszem z grzybków suszonych.

Farsz do skorupek rakowych. Rozetrzeć 2 łyżki masła deserowego na śmietanę, dodając stopniowo dwa żółtka. Wsypać tartej bułeczki i dużo siekanego koperku. osolić do smaku, wyrobić. Tym farszem nadziewać skorupki rakowe, zagotowując je raz w zupie rakowej przed samem wydaniem na stół.

Kluski parzone do rosołu. Zagotować pół szklanki wody, dodając do niej $^1/_4$ szklanki masła sklarowanego. Do gotującej wody wsypać szklankę osianej mąki pszennej, mieszając bezustannie, aby się grudki nie wytworzyły. Podgrzewać ciasto na ogniu, dopóki nie odstanie od rondla, mieszając bezustannie. Wystudzić. Do zimnego ciasta dodawać po jednem 3 jaja, wyrabiając po każdem jaju conajmniej 5 minut łyżką drewnianą. Wkońcu dodać soli i drobno siekanego koperku.

Kłaść na wrzący rosół maleńkie kluseczki, przykryć, zagotować i natychmiast wydawać.

Kluski wątrobiane. Przygotować ciasto parzone, jak wyżej. W czasie wyrabiania ciasta z jajami, dodać 3 łyżki surowej wątróbki cielęcej, przefasowanej przez sito. Dalej postępować tak samo.

Pulpety z ryb lub drobiu. Usiekać bardzo drobno mięso gotowanej ryby, kury, albo cielęciny. Dodać do smaku soli, białego pieprzu. Na $^1/_4$ kg. mięca wziąć łyżkę masła deserowego utartego na smietanę z dwoma żółtkami i 2 łyżki tartej bułki. Dodać drobniutko posiekanej natki od pietruszki, wyrobić. Formować okrągłe małe pulpeciki, albo zręczne wałeczki jednakowej wielkości, skrążyć w mące pszennej. Gotować na lekko osolonym wrzątku około pół godziny.

Grzanki do zupy. Pokrajać wczorajszą bułeczkę, albo chleb, w drobną, zręczną, niewielką kosteczkę. Zasmażyć na patelni sporo masła, rzucić grzaneczki na masło, raz zasmażyć, wymieszać. Wstawić patelnię do średnio gorącego pieca. Trzymać dopóki grzaneczki nie nabiorą wyraźnie złotego koloru. Nie powinny się zbytnio zrumienić, bo będą za twarde.

Słodkie grzaneczki do zup owocowych. Do zup owocowych doskonałe są delikatne, słodkie grzaneczki przyrządzane z bułeczki maślanej. Bułeczkę maślaną pokrajać na niewielkie grzaneczki. Ułożyć na blasze od pieczenia ciastek, skropić mlekiem, posypać miałkim cukrem, wstawić do pieca, żeby dobrze przeschły i lekko się zrumieniły.

Buljon z groszkiem i kluseczkami z naleśników. Usmażyć naleśniki z jednego jajka (powinno wyjść 6 sztuk), gdy ostygną, zwijać każdy oddzielnie w ciasny rulonik, krajać ostrym nożem w cieniutkie paseczki. Przyrządzić buljon na podstawie smaku z jarzyn, dodać kilka łyżek groszku zielonego (z puszki, albo z Wecka), przepłókanego zimną wodą i kluseczki z naleśników. Raz zagotować. Dowego masła deserowego i zieleninki. Wymieszać. Podawać bardzo gorący.

Jaja djabelskie z jarzynkami. Pokrajać drobno kilka młodych marchewek, dodać groszku zielonego, łebków szparagowych i drobnych cebulek (szalotek), obranych ze skórki. Wszystkie te jarzynki gotować w krótkiej osolonej i lekko ocukrzonej wodzie 20 minut. Wylać na durszlak, osączyć, potem dusić dłuższą chwilę w maśle deserowem. Gdy jarzynki miękkie, dodać konserwy pomidorowej, dodając na 5 dk. konserwy łyżkę buljonu i łyżkę sosu Kabul, albo Worcester. Raz zagotować, zdjąć z ognia. Usmażyć tyle jajek ile mamy osób do stołu. Na każdej grzance położyć jedno sadzone jajko. Ułożyć zręcznie na okrągłym półmisku, Przykryć jaja na grzankach stosikiem jarzyn, tak aby jaj widać nie było, posypać siekaną zieleninką. Wydawać bardzo gorące.

Po usmażeniu jajek przyciąć białka ostrym nożem dookoła, tak aby im nadać kształt prawidłowy.

Jaja z cynaderkami. Cynaderkę cielęcą obrać z tłuszczu, pokrajać na talarki, usmażyć na zrumienionem maśle z cebulką. Roztopić w płaskiej rynce ogniotrwałej trochę masła, wbić dowolną ilość jaj, jedno obok drugiego, smażyć chwilę, a gdy się białka zaczną ścinać, ułożyć na nich plasterki cynaderek, formując rodzaj wianuszka dokoła każdego białka. Posypać to wszystko suto tartym serem szwajcarskim, albo parmezanem, skropić masłem, wstawić do gorącego pieca, zrumienić.

Kotlety pożarskie z cielęciny z groszkiem zielonym. Proporcja: 1/2 kg. cielęciny bez kości, mleko, 2 czerstwe bułki, 2 żółtka, łyżka masła.

Umyć czysto białą, piękną cielęcinę, włożyć ją na miseczkę, zalać słodkiem mlekiem, trzymać w chłodzie kilka godzin. Po wyjęciu z mleka opłókać w czystej wodzie, osączyć, wytrzeć dosucha ściereczką, wyżyłować, pokrajać na kawałki i przepuścić dwukrotnie przez maszynkę o gęstem sitku.

2 bułki, kajzerki obetrzeć na tarce ze skórki, przekrająć każdą na 4 części, zalać słodkiem mlekiem, a gdy zmiękną osączyć na sitku (nie wyciskać!). Rozetrzeć na misce masło deserowe na śmietanę, dodać, po jednem, żółtka, ucierać z niemi jeszcze chwilę. Wreszcie dodać bułeczkę i wszystko razem rozetrzeć na gładką, pulchną masę. Do tej masy dodać cielęcinę siekaną, wyrobić ją tak, aby się doskonale wszystko razem połączyło, wsypać łyżeczkę soli, wymieszać.

Podzielić mięso na tyle równych porcyj, ile chcemy mieć kotlecików, które powinny być nieduże. Formować kotleciki w kształcie wałeczków (krokiety), skrążyć w tartej, osianej bułeczce, umaczać w rozbitem jajku, znów skrążyć w bułeczce. Smażyć na złoty kolor w sklarowanem maśle, uważając aby się zbytnio nie zrumieniły i nie wysuszyły. Smażyć 10 minut, przykryć patelnię miską odwróconą do góry dnem i wstawić jeszcze na 10 minut do pieca.

Ugotować młody groszek zielony, odlać wodę, włożyć sporo masła i dusić jeszcze chwilę, tak żeby się sos wydusił, a pozostało czyste masło. Można też ugotować groszek, doskonale osączyć, a dopiero po wyłożeniu na półmisek przybrać kulkami, albo talarkami z masła deserowego. Groszek dać pośrodku okrągłego półmiska, otaczając go kotlecikami. Tak przyrządzone kotleciki z cielęciny nie ustępują niczem najdelikatniejszym kotlecikom z kury.

Kurczęta po włosku z ryzem. Oczyścić starannie kurczęta młode i tłuste, wymyć w kilku wodach, osączyć, lekko nasolić. Rozpuścić w rondlu masło, licząc 5 dkg. na każde kurczę, podlać buljonem, dając łyżkę na jednego kurczaka. Dusić kurczęta pod przykryciem w maśle z buljonem, dopóki nie będą zupełnie miękkie. Wtedy podzielić je na połówki, lub ćwiartki (zależnie od wielkości), ułożyć na wysmarowanym masłem półmisku ogniotrwałym, posypać po wierzchu suto tartym serem szwajcarskim. Zalać następującym sosem:

Proporcja na cztery kurczęta: 2 szklanki mleka, parę łyżek młodej śmietany, 2 łyżki tartego sera, tyle mąki pszennej, aby sos był bardzo gęsty, 4 żółtka, czubata łyżka masła deserowego. Rozetrzeć mokę w niewielkiej ilości mleka, rozebrać resztą mleka i śmietaną, posolić, przecedzić przez gęste sitko. Zagotować, mieszając bezustannie. Rozbić żółtka z dwiema łyżkami zimnego mleka, gdy sos zdjęty z ognia, zaprawić go żółtkami, posolić do smaku, wsypać dwie czubate łyżki tartego sera szwajcarskiego, włożyć świeże masło, doskonale wymieszać. Polać kurczęta tym sosem tak, aby były całkowicie pokryte, posypać suto tartym serem, skropić masłem. Zapiec na złoty kolor.

Melba.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU Z NR. 13 „TYG. KOBIETY".

1. B A **W** I Ć
2. O G I **E** Ń
3. K I **E** D Y
4. W O **L** N O
5. H U **K** A Ł
6. W N **I** K A
7. Z A **P** A Ł
8. S Ł **O** W O
9. C I **S** Z A
10. D O **T** Ą D

Rozwiązanie: WIELKI POST.

Rozwiązanie nadesłały Panie: Bielecka — Warszawa; Bogdańska Wanda — Jabłonna; Dąbrowska A. — Warszawa; Gałkowska Zofja — Kowel; Kniażewska Elza — Gródek Jagielloński; Kościńska Marja — Warszawa; Perkowska Krystyna — Wolbrom; Wincewiczowa Marja—Międzyrzec; Zamińska Florentyna—Warszawa.

Nagrodzono drogą losowania Panie: Bielecką Janinę z Warszawy — książką „Klimaty" André Maurois i Gałkowską Zofję z Kowla — książką „Tajemnica Bryły Lodu" Rupert Hughes; Florentynę Zamińską — książką „Zwycięstwo Józefa Żołądzia".

Rozwiązanie zadania poetyckiego z Nr. 15 „Tyg. Kobiety":

Wesołych Świąt, wesołych Świąt!
Tych dni beztroskich, dni radości.
Złe myśli precz, kłopoty w kąt,
Niech radość w sercach naszych gości!

Wesołych Świąt, wesołych Świąt,
Radujmy się kto żyw, kto młody.
Niech porwie nas beztroski prąd
Tych dni wytchnienia i swobody.

nadesłały Panie: Gałkowska Zofja — Kowel; Perkowska Krystyna — Wolbrom; Zamińska Floretnyna — Warszawa.

ROZWIĄZANIE Z NR. 15 „TYGODNIKA KOBIETY":

LOGOGRYF ŚWIĄTECZNY.

1. K u **C** j a
2. C h o j **O** k a
3. M i **N** o s
4. D r **A** c z
5. R o **K** l a
6. D e **L** j a
7. G l **E** j t
8. A r **I** o n
9. N i **W** a r

Prawidłowe rozwiązanie nadesłała Pani Gałkowska Zofja z Kowla.

Prenumerata: miesięcznie 1 zł. 75 gr., kwartalnie 5 zł.

REDAKTORKA NACZELNA: *Wanda Dobrzańska.* WYDAWCA: *Kobieca Spółdzielnia Wydawnicza.*

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Szpitalna 5, m. 15, tel. 5-07-03. Konto P. K. O. 13-191.

Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44. Tel. 5.88-70.

Tacka
haft Kolorowy



Kolory:
- szafirowy
- zielony
- złoty
- bronzowy
- rudy
- żółty

Marioǵ



1. BLUZKA Z SUROWEGO JEDWABIU W KOLORZE NATURALNYM.

2. BLUZKA Z TAFTY W KRATĘ.

3. SUKIENECZKA DLA DWULETNIEGO CHŁOPCZYKA WYKONANA Z PŁÓTNA, ALBO BIAŁEJ PIKI.

4. UBRANKO DLA CHŁOPCZYKA: MAJTECZKI Z PŁÓTNA GRANATOWEGO, BLUZECZKA Z SUROWEGO JEDWABIU.

5. SUKIENKA Z WZORZYSTEGO KRETONU DLA MAŁEJ DZIEWCZYNKI.

6. SUKNIA LETNIA Z DESENIOWEGO JEDWABIU.







Drukarnia Krajowa w Warszawie, Chłodna 44. Tel. 5.88-70.